

Leszek Bartołd

Reportaże z cyklu

Z cukrzycą po górach

Dębowiec – Szyndzielnia – Klimczok

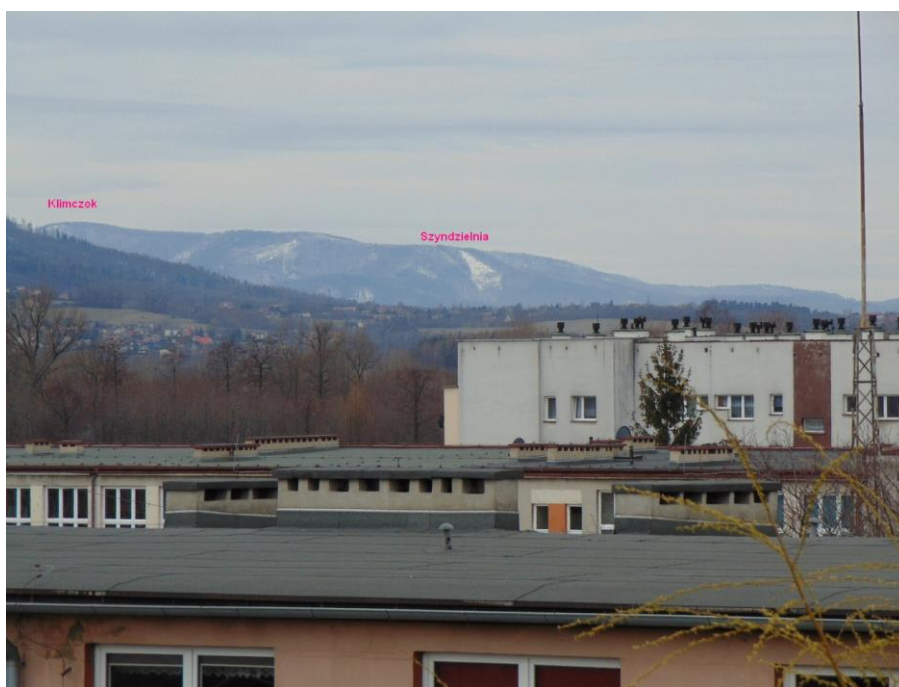
Błatnia - Dębowiec

12.12.2015 r.

Foto: Leszek Bartołd

Kolejny reportaż poświęcę górcom z mojego najbliższego otoczenia, czyli Beskidom, zlokalizowanym w rejonie Bielska-Białej (Beskid Śląski). Z okien mojego mieszkania w Kętach, przy sprzyjającej aurze, zwłaszcza po silnym wietrze halnym, dobrze widoczna jest góra Szyndzielnia. A precyzując to bardziej dokładnie, zauważalna staje się wówczas górna stacja kolejki linowej (959m n.p.m.) wraz z radiowo-telewizyjną stacją przekaźnikową i jej końcową nitką wjazdową. A po jej prawej stronie ukazuje się zbocze dawnej trasy narciarskiej tzw. Sahary. Taką panoramę najwyraźniej możemy zaobserwować zimą, gdy góry pokryte są śniegiem. Osoby mające sokoli wzrok, gdy słońce jest już nisko nad zachodnim horyzontem, zobaczą nawet stalowy maszt z antenami telekomunikacyjnymi stojący na szczycie Klimczoka (1117m n.p.m.). Wzniesienie to jest z kolei najwyższym punktem i jednocześnie wizytówką miasta Bielsko-Biała.

Patrząc przed siebie, do owych szczytów mamy odległość wynoszącą około 22 kilometry. Mógłbym powiedzieć, że mieszkam w zasięgu czterech gór, bo poza już wymienionymi, najbliżej nas widoczny jest jeszcze 35-metrowy, stalowy Krzyż Trzeciego Tysiąclecia na szczycie Chrobaczej Łąki (828m n.p.m.) w Beskidzie Małym. Dominujący nad Kozami, czyli największą pod względem liczby mieszkańców wsią w Polsce, oraz pięknie oświetlony nocą sprawia, że dostrzegany jest z najbardziej odległych miejscowości regionu.



Widok na Szyndzielnię i Klimczok



Na Chrobaczą Łąkę

Latem ubiegłego roku, wraz z żoną Krysią oraz wnukami Sebastianem i Patrykiem, wzięliśmy udział w V Rajdzie Deptoków, zorganizowanym przez Koło PTTK „Beskidek” w Porąbce. Nawiązuję do tego wydarzenia, ponieważ trasa, którą przemierzaliśmy, prowadziła podnóżem powyższej góry, tak charakterystycznej dla naszej okolicy. Oznaczonymi wcześniej przez dwóch naszych klubowiczów leśnymi bezdrożami, obejmowała przejście z nieczynnego kamieniołomu w Kozach, poprzez Bujakowski Groń (749m n.p.m.) do ruin zamku na Wołku (przysiółek Kobiernic). Następnie poprzez koronę zbiornika wyrównawczego zapory wodnej „Czaniec” na Sole, będącej dolną kaskadą rzeki, wiodła do miejscowości Porąbka, kończącej przemarsz uczestników rajdu. W połowie rajdowego odcinka weszliśmy wówczas na przepiękne widokowo miejsce leżące u stóp Bujakowskiego Gronia. To niższy wierzchołek masywu Chrobaczej Łąki. Stojąc tam można było dostrzec rozległą panoramę pobliskich miejscowości, jak i bloki mieszkalne mojego osiedla. Mieliśmy wówczas lustrzane odbicie tego samego obrazu, który mam z domu, tylko widziany z wyższej perspektywy.



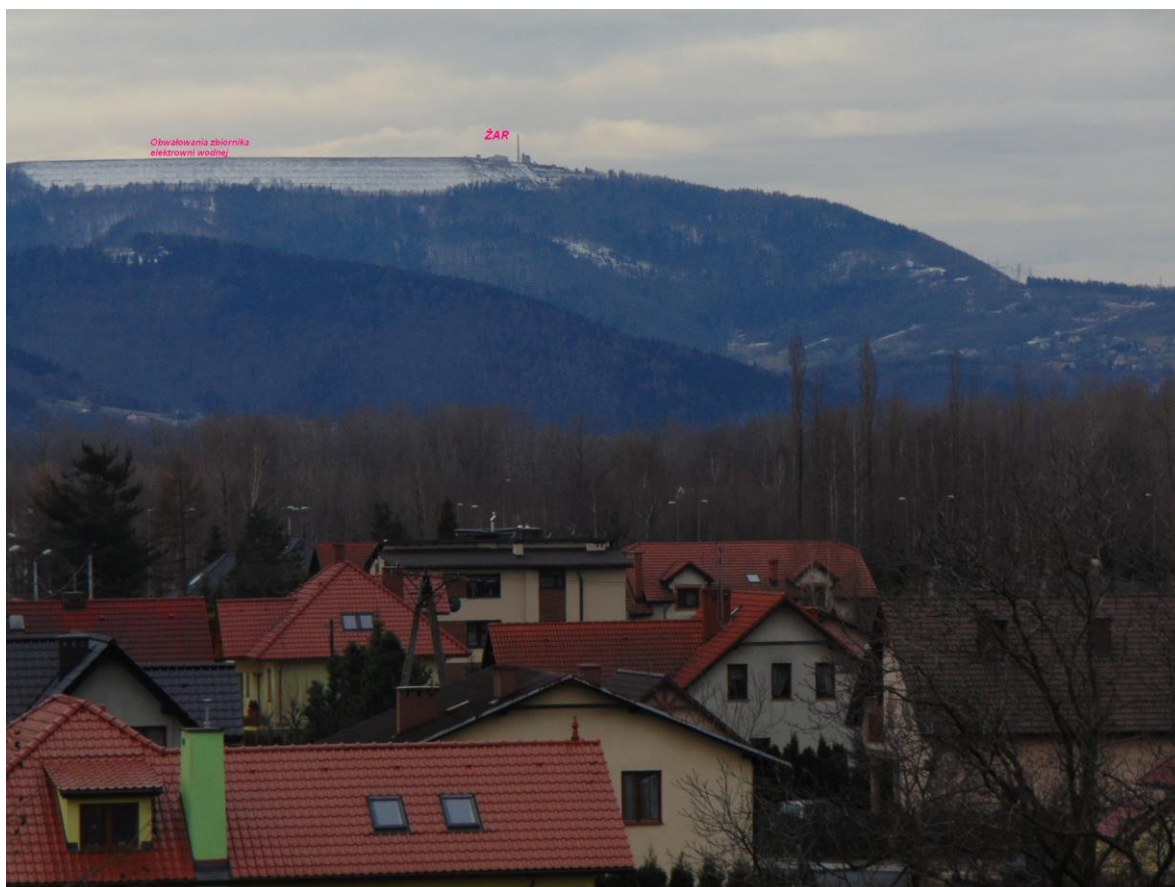
Panorama Kęt i okolic spod Bujakowskiego Gronia



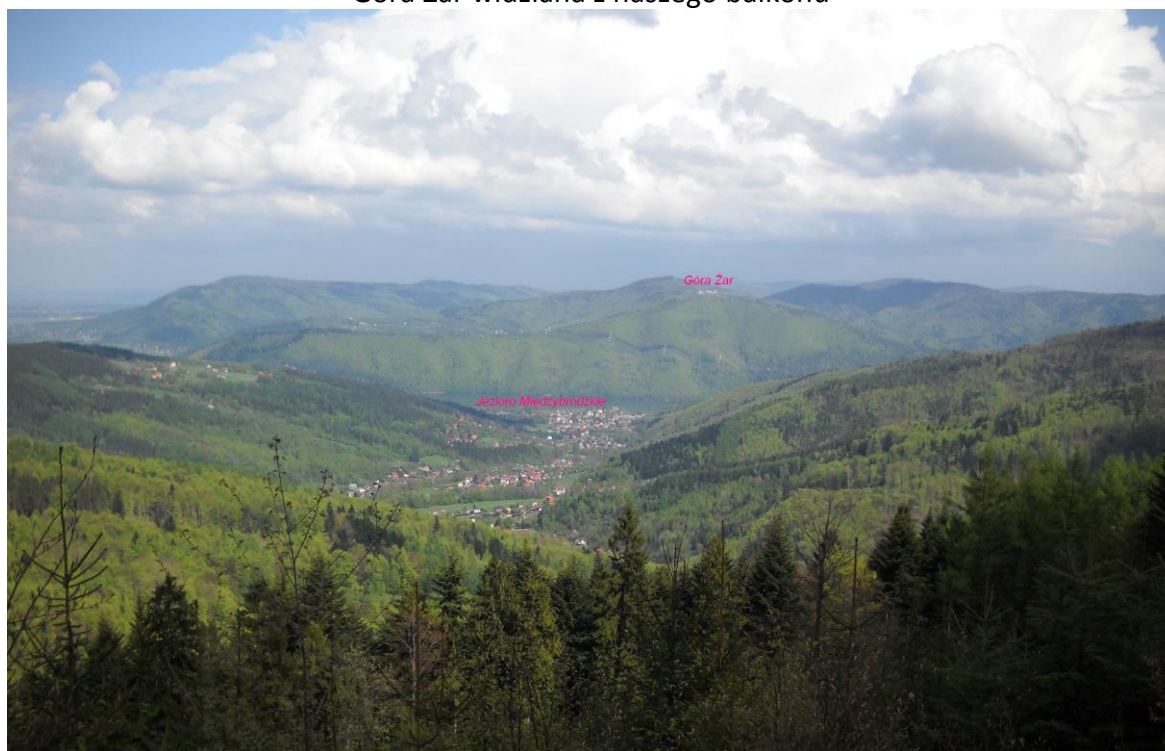
Wraz z Krysią i wnukami na trasie V Rajdu Deptoków (za nami J. Czanieckie na Sole)

Ostatnim akcentem balkonowych widoków, a patrząc w kierunku południowym jest góra Żar (761m n.p.m.). Szczyt ten leży nad Jeziorem Międzybrodzkim, jak i Żywieckimi oraz wyrasta ponad dolinę rzeki Soły. Trzeba trochę wychylić się z werandy, by dostrzec sam

wierzchołek, a właściwie budynek obecnej restauracji o nazwie „Meteo” wraz z masztem przekaźnikowym, które po zmroku lśnią blaskiem nocnych świateł.



Góra Żar widziana z naszego balkonu



Widok na Żar z drugiej strony, czyli spod Magurki Wilkowskiej

Przy dobrej i słonecznej pogodzie, na turni zauważalne są 30-metrowej wysokości betonowe obwałowania zbiornika wodnego elektrowni szczytowo-pompowej Porąbka-Żar. Zbiornik w kształcie deltoidu, z lotu ptaka przypomina mi latawca bez ogona, leżącego na olbrzymim stole lub też gigantyczną beczułkowatą butelkę napełnioną hektolitrami życiodajnego płynu, wlotem zwróconą w stronę sąsiedniej i trochę wyższej góry Kiczera (831 m n.p.m.). Bardzo efektownie wyglądają zdjęcia całego obiektu zrobione z kabiny szybowca.

Nie tylko latem możemy również podziwiać unoszących się w powietrzu paralotniarzy oraz lotników z Górskiej Szkoły Szybowcowej „Żar”, będącej kolebką polskiego szybownictwa. Pierwszy ośrodek szkoleniowy powstał już w 1936 roku. W pilotażu edukował się tutaj późniejszy kosmonauta Mirosław Hermaszewski. Najwybitniejszą postacią wywodzącą się z tej szkoły, w której ojciec Tomasz był wieloletnim wykładowcą, instruktorem oraz czynnym pilotem, jest kultywujący rodzinną pasję Sebastian Kawa. Od czwartego roku życia mieszka w Międzybrodzu Żywieckim, a więc u stóp nowego lotniska. Pierwsze lądowisko mieściło się na płaskim wierzchołku szczytowym, a po wybudowaniu elektrowni zmieniono jego lokalizację. Ów fakt znacznie przyczynił się zainteresowaniem małego Sebastiana awiacją oraz szybowcowymi lotami. Jednak żeglarstwo było jego pierwszą działalnością sportową. Gdyby nie przypadek, zapewne kontynuowałby pływanie na łódkach.

Nasz najbardziej utytułowany pilot oraz wielokrotny mistrz świata w konkurencjach szybowcowych, w międzynarodowym plebiscycie sportowym nominowany został do tytułu Sportowca Roku 2015, w dyscyplinach niebędących olimpijskimi. Do olbrzymiego pasma sukcesów S Kawy należy dopisać wspólny wraz z kolegą przelot szybowcem nad Himalajami, w grudniu 20013roku, dokonany pierwszy raz w historii ludzkości.

Uatrakcyjniając jeszcze bardziej walory rekreacyjno-sportowe góry Żar, w 2003 roku, od strony lotniska uruchomiono całoroczną kolej linowo-terenową dowożącą turystów na sam szczyt. Z wierzchołka, w kierunku południowym rozciąga się rozległa panorama na Międzybrodzie Żywieckie i Czernichów, jak również na Żywiec i Jezioro Żywieckie, utworzone przez zaporę w Tresnej na rzece Sole. W dalszej perspektywie obejrzymy Pilsko (1557m n.p.m.) w Beskidzie Żywieckim, czy nawet bardzo ciekawy, z racji charakterystycznie postrzępionego kształtu, szczyt Wielkiego Rozsutca w Małej Fatrze na Słowacji. Obracając się na zachód, w dole rzeki dostrzegamy kolejną miejscowość turystyczną, czyli Międzybrodzie Bialskie wraz z pasmem Magurki Wilkowickiej (909m n.p.m.). W głębi wyłania się wzniesienie Skrzycznego (1257m n.p.m.) oraz Baraniej Góry (1220m n.p.m.) w Beskidzie Śląskim. Mijając Magurkę docieramy wzrokowo do Przełęczy Przegibek, przez którą prowadzi lokalna droga do Bielska-Białej. Za tą przełęczą rozściela się już pasmo opisywanej wcześniej Chrobaczej Łąki. A w kierunku północnym możemy nacieszyć się rozległą panoramą Kotliny Oświęcimskiej. Na pierwszym planie widnieje miejscowość Porąbka wraz z trzecim zbiornikiem wyrównawczym w Czańcu na Sole, będącym rezerwuarem wody pitnej, między innymi dla Śląska i Bielska-Białej. Dalej są Kobiernice, Kęty i inne ościenne miejscowości, a przy dobrej pogodzie widać nawet kominy Elektrowni Jaworzno III, z których jeden (306m wysokości) jest najwyższym kominem w Polsce.

Obok kolejki szynowej na Żar, posiadającej wagoniki z zakopiańskiej Gubałówki, powstały wyciągi i trasy narciarskie ze sztucznym zaśnieżaniem stoku oraz oświetleniem dające możliwość szusowania zimą do późnych godzin wieczornych, już po zapadnięciu zmroku. Dodam, że ta strona Żaru nie jest widoczna z Kęt. Oba sztuczne zbiorniki retencyjne na Sole, czyli Jezioro Żywieckie oraz Międzybrodzkie tworzą idealną strukturę dla sportów wodnych oraz służą rekreacji i wypoczynkowi letników.

Niby tak niewielki pod względem wysokości groń, a tak dużo oferujący turystom w swojej przebogatej ofercie. Jakby tego było mało, to na drodze dojazdowej na szczyt możemy zetknąć się jeszcze z niezwykłym zjawiskiem, z rodzaju paranormalnych. W pewnym miejscu, zatrzymując pojazd na tzw. luzie, czy pozostawiając nieruchomo na asfalcie chociażby piłkę, zaobserwujemy, że po pewnym czasie, wbrew prawom grawitacji, same przemieszczają się bezwiednie do góry. Czy tak jest naprawdę, czy to tylko złudzenie optyczne, polegające na oszukaniu naszych zmysłów? Chyba to drugie.

Rozpisałem się trochę na ten temat, ale w myśl przysłowia „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie” pragnąłem przybliżyć wszystkim zainteresowanym osobom największą atrakcję górską, leżącą najbliżej mojego domu (około 10 km w linii prostej – obliczona z mapy na stronie geoportal.gov.pl). Polska ziemia jest naprawdę piękna, a nasze góry równie urocze, jak zagraniczne. Trzeba to tylko dostrzec i zobaczyć, niekoniecznie wyjeżdżając w dalekie strony.

Od dłuższego czasu planowałem przejść szlakiem do miejsca leżącego najbliżej mnie, czyli na Chrobaczą Łąkę (nieco ponad 7 km w linii prostej). Patrząc na mapę Beskidu Małego, przestudiowałem trasę czerwonego szlaku z zapory w Porąbce na sam szczyt i dalej możliwość zejścia do granicy administracyjnej Bielska-Białej z Kozami. Zarówno początek jak i koniec trasy mają dobre połączenie komunikacji pasażerskiej. Wybierając się w góry indywidualnie i nie posiadając auta trzeba liczyć tylko i wyłącznie na transport publiczny, by później móc powrócić do domu. Rano, do sąsiedniej Porąbki można zajechać naszą międzygminną komunikacją. Popołudniowy powrót busami z okolic Bielska-Białej, jadącymi główną drogą w kierunku Krakowa jak i Wadowic, też nie przysparza kłopotów.

Po ostatnim „Rajdzie Deptoków” wnuczek Sebastian ciągle dopytywał się, kiedy znów wybierzemy się w góry? W październiku tego roku, wraz z PTTK „Beskidek”, byliśmy obaj uczestnikami XV Rodzinnego Rajdu Górskiego na Groń Jana Pawła II oraz pobliski Leskowiec. To rodzinne wędrowanie, jak co roku, przypada na obchody Dnia Papieskiego. W Mikołajki, wraz z kołem w Porąbce, byłem jeszcze na Wielkiej Raczy (1236m n.p.m.) leżącej w Beskidzie Żywieckim. Na zrealizowanie obiecanego mu wypadu w góry pozostał kolejny weekend.

Plany wejścia na Chrobaczą Łąkę mogła pokrzyżować nie najlepsza pogoda, zapowiadana na nadchodzący sobotnio-niedzielny okres. Od kilku dni płytki front atmosferyczny z opadami deszczu zadomowił się w naszym regionie, co mogło zniechęcić nas do jakiegokolwiek wymarszu. W piątek po południu, w przeddzień planowanej eskapady, pojechałem po Sebę i późnym wieczorem wracaliśmy razem do Kęt. Specjalnie nie liczyłem na poprawę aury, gdyż nadal była ona fatalna, a najgorsza miała być w niedzielę. Nie chciałem rozczarować młodego turysty, nie rezygnując ostatecznie z wyprawy. W innym wariantcie, zamiast gór, pozostawało pójście na kryty basen kąpielowy w naszym mieście.

Alternatywą na niepogodę okazała się chęć dołączenia do nas kolegi Janusza z sąsiedniego Czańca, który od kilku dni znał moje zamiary. Niezależnie od panującej jutro pogody, zaoferował przejazd samochodem w stronę kolejki wraz z wjazdem na Szyndzielnię w Bielsku-Białej. Takowa propozycja zmieniła całkowicie moje wcześniejsze plany, ale okazała się najbardziej bezpiecznym sposobem spędzenia wolnego czasu w górach, chociażby na krótki okres. Po krótkiej rozmowie telefonicznej z przyjacielem oraz analizie prognoz pogody przystałem na jego sugestie.

Nastawiłem „budzenie” w telefonie na 6-tą rano, ale ze snu wybiłem się znacznie wcześniej. Było jeszcze ciemno, a na zewnątrz padał słaby deszcz. Z każdą, kolejną minutą nasłuchiwania deszczowej melodii, jakakolwiek dzisiejsza wyprawa traciła w moich oczach sens. Po usłyszeniu dzwonka w smartfonie, leżąc jeszcze w łóżku, zastanawiałem się, czy

warto wstawać skoro świt, gdy za oknem siąpanina, a ciężkie chmury totalnie przystaniały powoli jaśniejące niebo. Jednak SMS - owa wiadomość od kolegi, niezależnie od niepomyślnych w tym momencie czynników atmosferycznych, zmotywowała mnie na tyle, że wstałem natychmiast i od razu i wziąłem się za zbieranie ekwipunku na drogę. Obudziłem Sebastiana, a po zjedzeniu śniadania byliśmy gotowi do drogi. Janusz przyjechał pod nasz blok punktualnie o godz. 7.30. Przestało nawet padać, więc były jakieś szanse na udany, chociażby niewielki rekonesans na świeżym powietrzu.

Udaliśmy się w stronę Bielska-Białej i przejeżdżając pustymi o tej porze ulicami miasta, bez większych problemów dotarliśmy w rejon Szyndzielni. Na chwilę wykręciliśmy jeszcze w stronę dolnej stacji kompleksu rekreacyjno-narciarskiego pod Dębowcem, ulokowanego w niedalekim sąsiedztwie kolejki gondolowej. Jest to nowy ośrodek oddany do użytku w styczniu 2013 roku, a którego dotychczas nie mieliśmy okazji obejrzeć.



Dolna stacja kompleksu Dębowiec

Zatrzymaliśmy się na pustym parkingu, bo i pora jeszcze wczesna jak i pogoda nieciekawa, niezachęcająca do dłuższych spacerów. Ciężkie chmury przetaczały się przez górski łańcuch, okalający miasto od południa. Na szczęście nie padało, a Sebastiana od razu zainteresował park linowy, rozłożony po sąsiedzku pod stokiem. W jednej chwili jego oczy zaświeciły się niczym rozżarzone do białości węgliki, pochłaniające wyobraźnię wiszącą nad ziemią podniebną ścieżkę, zróżnicowaną zarówno pod względem wysokości jak i trudności pokonywania przeszkód. Przez zamknięte ogrodzenie mógł na niego tylko popatrzeć, gdyż w okresie zimowym jest nieczynny. Miał ogromne chęci wspinania się na najwyższe partie tej atrakcji, a jednocześnie trochę żalu, że nie może z niej skorzystać.

Muszę tu koniecznie przyjechać, jak będzie czynne - powiedział do siebie obiecująco. Pozostało mu tylko poćwiczyć na urządzeniach ogólnodostępnej siłowni, postawionej na świeżym powietrzu i będącej integralną częścią całego kompleksu rekreacyjnego. Minęło zaledwie kilka minut po ósmej rano i czteroosobowa kanapowa kolej linowa jeszcze nie kursowała. Tego dnia stok nie posiadał również trwałej okrywy zimowej, a dodatkowo temperatury powietrza nie sprzyjały pracy armatek śnieżnych, sztucznie nasypujących białym puchem zjazdową trasę. W warunkach normalnej zimy miejsce to jest wspaniałym wypoczynkiem nie tylko dla dobrze jeżdżących narciarzy, ale również dla początkujących jak i dzieci. Bardzo łagodny stok, dzięki sztucznemu oświetleniu, pozwala amatorom białego szaleństwa na przyjemne szusowanie do późnych godzin nocnych. Latem chętnie przybywają tutaj mieszkańcy miasta na odpoczynek oraz poobiedni relaks, wykorzystując spacer okolicznymi ścieżkami edukacyjnymi.

Co było do obejrzenia, to zobaczyliśmy. Powróciliśmy do auta, by się przenieść w pobliże szlaku wiodącego na Szyndzielnię. Przejechaliśmy może z 500 metrów i stanęliśmy na niewielkim parkingu przy ulicy dojazdowej do kompleksu „Dębowiec”, w sąsiedztwie nowoczesnej hali sportowo-widowiskowej.



Kolega Janusz z moim wnukiem na parkingu pod halą sportową w Olszówce Górnej

Przed wyruszeniem z Olszówki Górnej na szlak, jeszcze w aucie zmierzyłem poziom cukru. Wynik był idealny (105mg%), ale wyciągnąłem małą kanapkę i postanowiłem ją skonsumować. Silny wiatr przeganiał czarne chmury po niebie i nie było wiadomo, jaką pogodę mogą nam one przynieść. Opatuleni po same szyje, z czapkami na głowach zaciągniętymi po uszy, byliśmy gotowi na dalszą trasę. O godzinie 8³⁰ szlakiem czerwonym ruszyliśmy w kierunku polany pod Dębowcem. Stąd to około 15 minut drogi. Mimo, że mamy już prawie połowę grudnia, to śniegu na tej wysokości nie ma, nawet na przysłowiowe lekarstwo. Wyasfaltowaną ścieżką, w początkowym odcinku mocno już wyeksploatowaną,

dotarliśmy do obrzeży osiedla prywatnych domów jednorodzinnych. Po minięciu ostatnich rezydencji, szlak czerwony kieruje się w prawo do góry. My postanawiamy odbić w przeciwną stronę, do toru saneczkowego o promienistej nazwie Słoneczna Polana. Dzięki podgrzewanej zimą rynnie zjazdowej o długości 410 metrów, funkcjonuje przez cały rok. Posiada też oświetlenie oraz monitoring, przez co stanowi wymarzone miejsce zabawy dla całej rodziny.



Wraz z Sebastianem idę wzdłuż toru saneczkowego
(za nami, u góry widoczna kolejka na Szyndzielnię wraz ze stokiem „Sachary”)

Sebastian pochłaniający, jak gąbka rozlaną wodę, wszelkie atrakcje i nowości architektoniczne saneczkowej trasy, od razu uruchomił własny system myślowy, jak to określiłem z zestawami trudnych pytań. Na nie to musiał uporać się kolega, a ja mogłem zająć się robieniem kolejnych zdjęć.

Po kilku minutach marszu wzdłuż toru, wyszliśmy na skraj szerokiej polany u podnóża schroniska, do którego zmierzaliśmy. W pobliżu rozwidlenia ścieżek położony został duży głaz, tzw. „Kamień Seniora”, upamiętniający miejsce śmierci bielskiego pastora ewangelickiego. Powyżej księża pallotyni wybudowali drewnianą kaplicę Matki Bożej Fatimskiej, w której latem odprawiane są niedzielne msze święte.

Na chwilę podeszliśmy do górnej stacji kolejki kanapowej, a przy najwyżej ustawionej stokowej armatce śnieżnej, ja z kolei zostałem zasypany niekończącym się ciągiem pytań dotyczącym pracy tego urzędnika.



Pod górną stacją kolejki kanapowej na Dębowiec, widok na Bielsko-Białą



Jestem z Sebastianem przy schronisku Dębowiec

Jeszcze kilka metrów i dochodzimy do przyjętego z nazwy „Schroniska Dębowiec”(526m n.p.m.). Jest to jedno z najstarszych tego typu obiektów w polskich Beskidach. Obecnie funkcjonuje, jako punkt gastronomiczny czynny tylko za dnia. Z tarasu

rozciga się przepiękna panorama na całe miasto. Pod zamkniętymi jeszcze drzwiami lokalu przywitały nas koty, z radością wyczekujące każdego turystę. Jako, że przybyliśmy tu przed godziną dziewiątą, to do otwarcia bufetu pozostawał kwadrans. Postanowiliśmy, że nie będziemy czekać, tylko ruszymy dalej. Pieczętkę z tego obiektu, wbijaną do książeczki GOT (Górska Odznaka Turystyczna), Janusz zdobędzie w drodze powrotnej. Jest on zapalonym hobbystą odznak turystyki górskiej i aby je uzyskać musi zbierać potwierdzenia z wielu miejsc na szlakach. Okazjonalne stemple ze schronisk są najlepszym dowodem do uzyskania prawa posiadania konkretnej plakietki, będącej wyróżnieniem za wytrwałe wędrowanie po górach.

Z tyłu budynku mieści się węzeł szlaków, czerwonego z zielonym, prowadzących na pobliskie wzniesienia. Z rozwidlenia zeszliśmy trochę niżej, do miejsca startu kolejki linowej na Szyndzielnię. W kilka minut byliśmy już w pobliżu budynku dolnej stacji, na wysokości 510 metrów n.p.m. Na asfaltowej alejce prowadzącej pod wyciąg zastaliśmy maszerującego przed nami tylko jednego człowieka, niosącego plastikowe pojemniki na wodę. Mężczyzna zmierzał do pobliskiego źródła „Sahara”. A to nie jedyne tego typu naturalne ujęcie w okolicy.

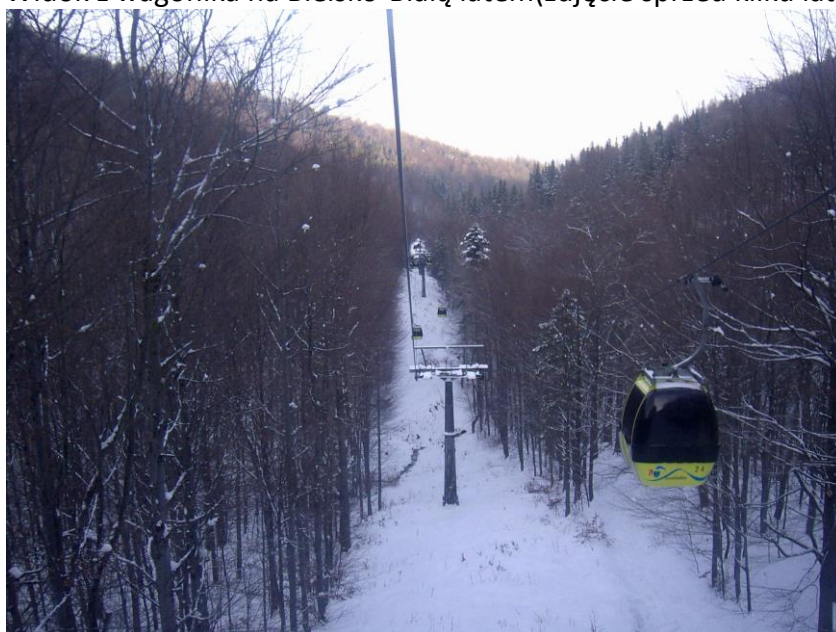


Janusz i Seba pod dolną stacją kolejki na Szyndzielnię

Po wejściu do środka obiektu zorientowaliśmy się, że jesteśmy pierwszymi klientami sobotniego przedpołudnia. Poza nami nie było chętnych na przejazd. Winna temu jest mało atrakcyjna aura, zniechęcająca do jakichkolwiek spacerów jak i dalszych, górskich wędrówek. Dowiedziawszy się, że za chwilę nastąpi pierwszy odjazd tego ranka, pośpiesznie wykupiliśmy w kasie bilety na przejazd w jedną stronę. Od razu udaliśmy się na taras startowy gondoli kolejki. Zajęliśmy miejsca w sześciuosobowym, nowoczesnym żółtym wagoniku i wystartowaliśmy. Według parametrów kolejki do pokonania mamy 1846 metrów łącznej długości przejazdu, którą winniśmy pokonać w 6 minut.



Widok z wagonika na Bielsko-Białą latem(zdjęcie sprzed kilku lat)



Zimowy wjazd kolejką (zdjęcie sprzed kilku lat)

Z racji brzydkiej pogody, z wagonika niewiele możemy dostrzec. A im wyżej, tym piękniejsza panorama stolicy Podbeskidzia, rozciągająca się za naszymi plecami w dole. Oczywiście mamy to zagwarantowane tylko przy dobrej widoczności. Pod samym szczytem,

po prawej stronie możemy zaobserwować zarastający stok dawnej trasy narciarskiej „Sahara”, o którym pisałem na samym początku reportażu, a dobrze widocznym z Kęt.



Z żoną Krysią na stoku „Sachary” - maj 2007 rok (w dole panorama Bielska-Białej)

Pierwsza, powojenna kolej linowa w Polsce, nie biorąc pod uwagę specyficznej kolei na Kasprowy Wierch, zaczęła kursy już w grudniu 1953 roku. Jest jedną z trzech czynnych obecnie kolei gondolowych (Krynica Górską i Świeradów Zdrój). Po modernizacji w połowie lat 90-tych ubiegłego wieku stała się jedną z największych atrakcji miasta. Mogą nią podróżować również osoby niepełnosprawne, poruszające się na wózkach inwalidzkich, co stwarza dla nich niebywale rzadką okazję obejrzenia okolicy z zupełnie innej perspektywy. Mając także przystosowanie do przewożenia wózków dziecięcych, nart oraz rowerów, daje ogromną szansę wspaniałego wypoczynku w górach całym rodzinom, niezależnie od wieku czy sprawności fizycznej.

Podróż przemieszczającym się jednostajnie do góry wagonikiem minęła szybko. Poprzez padający momentami drobny deszcz i nasuwającą się coraz gęstszą mgłę nie mogliśmy cieszyć się otaczającymi nas widokami. Niezbyt ciekawy przejazd uatrakcyjnił nam Seba, bez przerwy zasypujący ciągiem pytań dotyczących wagonika, jak i kolejki. W pewnym momencie zastanowiło mnie, skąd rodzą się u niego przeróżne pytania. Młody człowiek pyta, a my winniśmy mu jakoś odpowiedzieć i to w dodatku z sensem. Taka to już rola starszych, bo dzieci uczą się od nas wszystkiego, również wędrowania po górach. Z nim jadę kolejką po raz trzeci, natomiast na szczyt Szyndzielni oraz pobliski Klimczok podchodziłem kilka razy, wybierając różne warianty dróg.

Górna stacja kolejki linowej (959m n.p.m.) przywitała nas cienką warstwą mokrego śniegu. Wiał dosyć silny wiatr, który przyniósł zamglenie całej, szczytowej okolicy. Wędrujące z zachodu ciemne chmury przewalały się energicznie ponad dachem budynku stacji, jakby chciały dotknąć czubków najwyższych świerków, pokrywając mleczną kurtyną otaczający

teren. Efektem tego była o wiele niższa temperatura odczuwalna od atmosferycznej. Ta druga oscylowała w granicach zera stopni Celsjusza. Kilkustopniowa różnica dawała uczucie większego chłodu odbieranego przez nas.



Pod górną stacją kolejki linowej

Docierając do platformy dojazdowej dostrzeżliśmy 18-metrową wieżę widokową, która została oddana do użytku latem tego roku, przez co znacznie podniosła jej atrakcyjność. Po raz pierwszy mam możliwość ją widzieć, tym bardziej wzbudzała moje, jak również Seby zainteresowanie. Wsiadając z wagonika, pomimo niezbyt atrakcyjnej pogody, wykupiłem dwa bilety wstępu na wysokościowy punkt obserwacyjny. Kolega postanowił poczekać na dole, stwierdzając, że dzisiaj i tak nic ciekawego nie zobaczymy. Miał stuprocentową rację, ale to tak samo, jak być w Rzymie i papieża nie widzieć. Liczył się sam fakt bycia pierwszy raz, tam na górze, a Sebastian mógł zaliczyć kolejną atrakcję dnia.

Na szczycie stalowej wieży o ażurowej konstrukcji i pomalowanej na zielono, znajduje się pomost widokowy wraz z lunetą obserwacyjną. Poprzez elektroniczny system bezpieczeństwa może przebywać na nim maksymalnie 30 osób. Zamontowano również kamerę, której obraz jest dostępny na stronie internetowej kolejki. Kratownicowe schody prowadzące na samą górę, jak i prześwitujące ściany boczne wraz z podłogą tarasu widokowego nie służą zapewne ludziom odczuwającym lęk wysokości. Przez ażurowe otwory pomostu, 18 metrów patrzenia w dół robi dodatkowe wrażenie na wszystkich wchodzących. Z miejsca przychodzą mi na myśl najbardziej znane i przeszklone tarasy zawieszone nad górskimi przepaściami. Stają się nie lada ekstremalną rozrywką tylko dla orłów, czyli najbardziej odważnych turystów. Oczywiście wysokości jak i ułożenie naszej wieży w terenie nie jest współmierne, ale dodatkowy efekt wizualny, w postaci takiej konstrukcji, budowniczowie na pewno uzyskali.



Wchodzimy na wieżę obserwacyjną



Sebastian na platformie szczytowej wieży



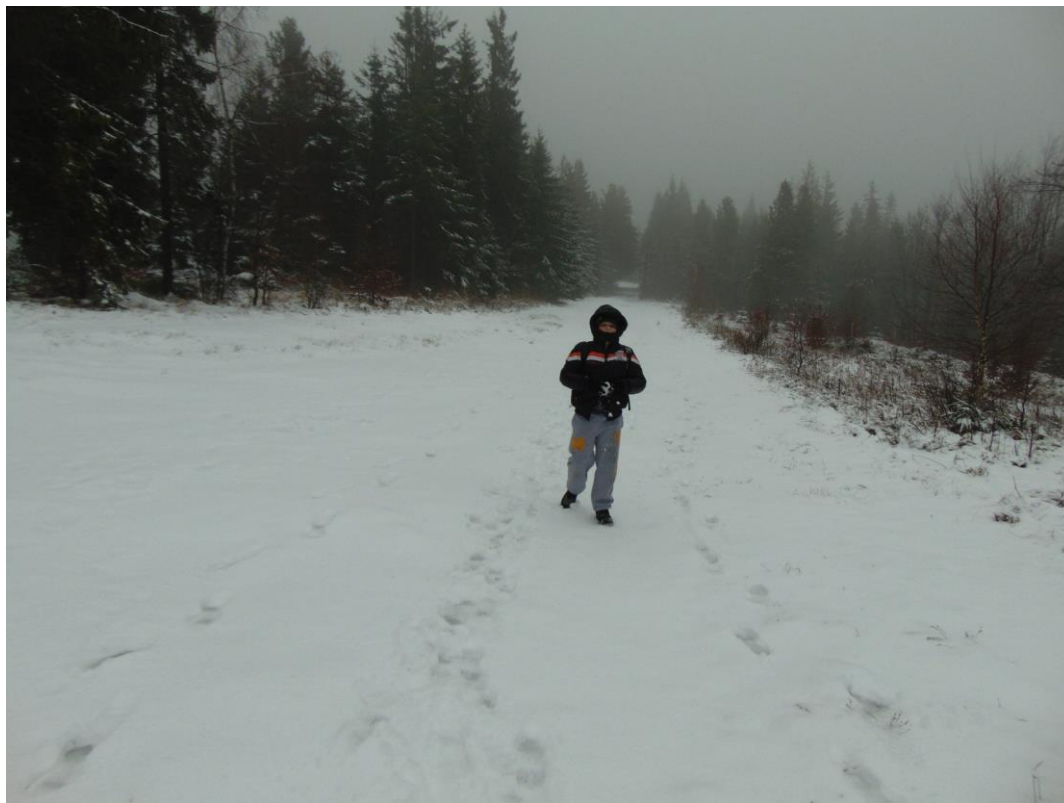
A kolega czeka na dole

Już od kilku osób słyszałem, jakoby wieża ta bujała się przy silnym wietrze. Teraz mogłem to sprawdzić osobiście. Nazbyt mocnego wiatru nie było i nie odczułem jakiegokolwiek kołysania się budowli. Na pewno tak jest, gdyż konstrukcje wysokościowe muszą poddawać się sile wiatru w sposób elastyczny, by pod naporem szczególnie niebezpiecznych w górach wiatrów halnych nie uległy złamaniu. Dla osób pragnących zobaczyć panoramę na żywo polecam obraz z kamery dostępny na stronie internetowej ZIAD-u. Mam nadzieję, że wybiorę się tam jeszcze nie jeden raz, oczywiście przy sprzyjającej i słonecznej aurze.

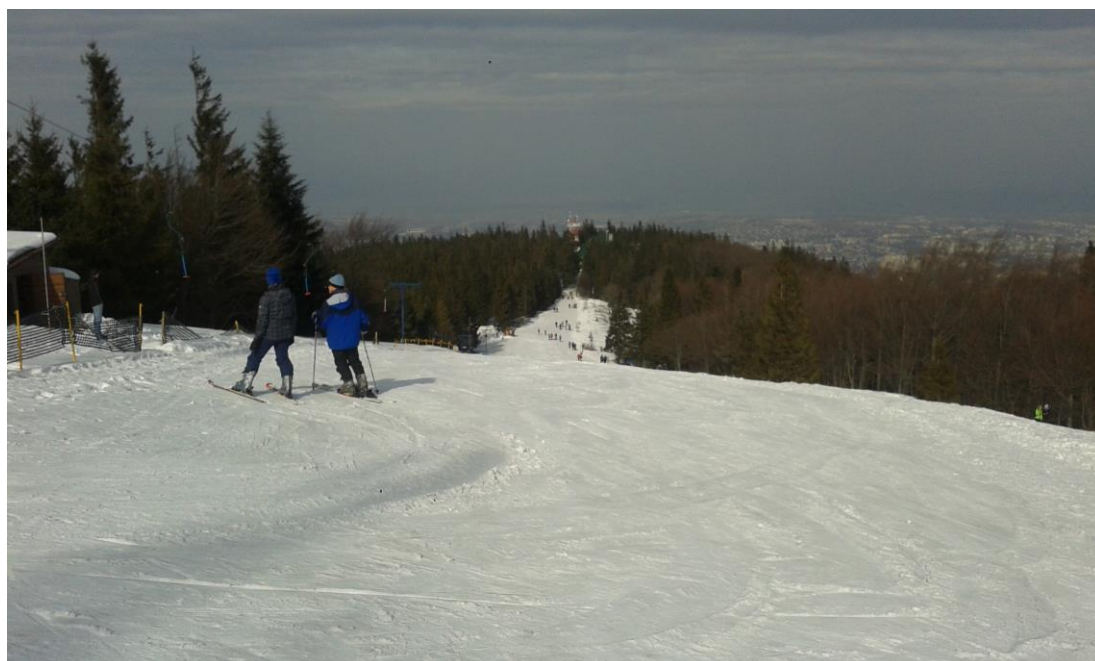
Przez 25- krotne powiększenie lunety obserwacyjnej, przy dobrej widoczności widzimy rozległą panoramę Bielska-Białej wraz z Beskidami. Jak na dłoni mamy przed sobą również masywy Babiej Góry oraz Pilska, a nawet oddalone stąd niespełna 100 kilometrów szczyty Tatr Zachodnich (w linii prostej to 100 kilometrów do Morskiego Oka). Pozbawieni dzisiejszego poranka walorów widokowych, nie pozostało nic innego, jak schodzić. Po utrwaleniu aparatem fotograficznym pamiątkowych zdjęć, udaliśmy się na dół. Wyczekujący nas Janusz zdążył się już trochę wynudzić i zmarzł, stąpając w miejscu. Ucieszył się, że w końcu zesliśmy. Zrobiliśmy jeszcze kilka fotek pod budynkiem stacji i bezzwłocznie ruszyliśmy w stronę najbliższego schroniska umiejscowionego w górnej części Kamienickiej Hali.

Za oznaczeniami szlaku zielonego, a później również czerwonego, dalej poszliśmy po mokrym i świeżym śniegu, który najprawdopodobniej napadał nad ranem. Idealnie nadawałby się do lepienia bałwana, ale gdyby leżał pod domem. Teraz nawet nie próbuję tego robić, chociaż wnuczek namawiał mnie, byśmy na chwilę się zatrzymali i ulepi

choćby niewielkiego ludzika. W rękach trzymał już małą gałązkę iglaka z niewielką szyszką na jej końcu, którą znalazł po drodze. Dla śnieżnej postaci miała posłużyć za rękę, a nos planował zrobić z kawałka zeschniętego patyka, za którym się rozglądał. W końcu odradziłem mu ten pomysł, by niepotrzebnie nie moczył rękawic oraz kurtki, co przy dalszej wędrówce mogłoby skutkować przeziębieniem.



Spod górnej stacji kolejki gondolowej maszerujemy ku schronisku Szyndzielnia



Stok zjazdowy na Kamienickiej Hali pod Szyndzielnią - luty 2015r. (na wprost górna stacja kolejki z masztem telekomunikacyjnym, a w dole panorama Bielska-Białej)



Hala Kamienicka latem - maj 2007 rok (na pierwszym planie moja żona Krysia)

Mgła spowiła wzniesienie i do końca nie było widać całej polany, mającej wydłużony kształt. Na niej znajduje się mały stok zjazdowy wraz z niewielkim wyciągiem talerzykowym. Zimą mamy obowiązek poruszania się skrajem stoku, by nie zderzyć się z narciarzami. Tak też uczyniliśmy i według oznaczeń szlakowych, poruszaliśmy się lewą stroną łagodnego zbocza. Jest to niewielka górka, bardziej do nauki jazdy dla maluchów, jak i osób stawiających pierwsze kroki na nartach. Teraz było tu pusto i głucho, ani żywej duszy. Tylko wiatr kołyszając wyższe świerki obsypane dorodnymi szyszkami, niczym ozdobnymi bombkami bożonarodzeniowej choinki, wydawał głuchoe dźwięki trących się o siebie, splątanych konarów drzew. Całkiem inaczej jest tu przy dobrej pogodzie. Czy to latem, czy zimą, na hali panuje wzmożony ruch turystyczny, a w szczególności na odcinku od górnej stacji kolejki do schroniska. Dzięki kolejce chętnie przybywają tu całe rodziny, szczególnie w niedzielne, piękne i słoneczne popołudnia. A w dole, w kierunku północnym, spod szczytu polany odsłania się wówczas wszystkim wypoczywającym przepiękna panorama największego miasta Podbeskidzia, jak i całej okolicy.

Po 10 minutach wędrówki w kompletnym pustkowiu osiągamy budynek pierwszej naszej górskiej oazy, jak się później okaże nie jedynej. Kilkanaście metrów wcześniej z naszą trasą łączy się żółty szlak wiodący z Cygańskiego Lasu (dzielnica Bielska-Białej), przez Kołowrót. Pod budynkiem schroniska, od strony naszego przyjścia, po wielu latach zaniedbań przywrócony został do życia jedyny tego typu w Beskidzie Śląskim botaniczny ogród skalny. Alpinarium, wraz unikatowymi jak i chronionymi roślinami wysokogóorskimi z rejonów alpejskich jak i naszych Beskidów, powstało już w 1906 roku. Warto zobaczyć rośliny, których

nie widzimy na co dzień np. szarotki, zawilce, kukliki czy dzwonki. Nam nie pozostaje nic innego, jak odwiedzić ogród w okresie letnim.

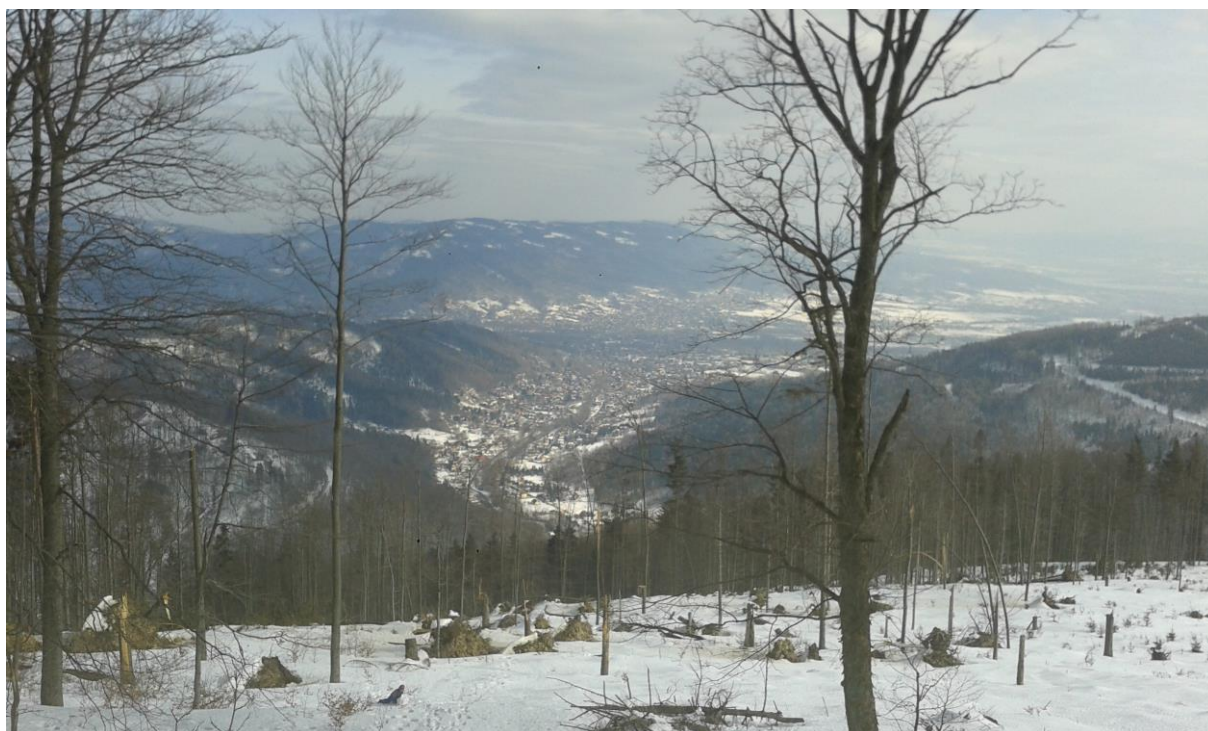


Kolega z Sebą przy wejściu do schroniska



Letni widok schroniska Szyndzielnia

Najstarsze w Beskidach i nawiązujące do architektury alpejskiej, murowane schronisko górskie PTTK na Szyndzielni (1001m.npm) leży nieopodal szczytu o tej samej nazwie. Na jego dziedzińcu byliśmy przed 10-tą rano. Z tarasu widokowego wyposażonego w ławki oraz stoliki, na którym latem chętnie odpoczywają turyści, przy dobrej przejrzystości powietrza rozciąga się przepiękna panorama na głęboką dolinę potoku Białka z miejscowością Bystra, w której mieszkał polski malarz Julian Fałat. Obecnie we wsi mieści się jego muzeum. Pasma Magurki Wilkowskiej oraz Kotliny Żywieckiej z ościennymi miejscowościami, widziane z tej perspektywy, są jakby dalszym tłem tego obrazu.



Widok spod schroniska Szyndzielnia na miejscowość Bystra i pasmo Magurki Wilkowskiej (na wprost, po prawej Kotlina Żywiecka)

Przy dzisiejszej, dalej zamglonej aurze, niewiele można było dojrzeć. Weszliśmy więc do środka, by zjeść kolejne śniadanie i poczekać na rozwój wydarzeń w pogodzie. Na piętrze mieści się duże pomieszczenie z bufetem, w którym postanowiliśmy pozostać na dłużej. Na sali zastaliśmy liczną ekipę turystów, konsumujących serwowany przez obsługę, poranny posiłek. Najwyraźniej noc spędzili w schronisku, gdyż nie mieli przy sobie bagaży, ani plecaków. Zajęliśmy wolny stolik i pozdejmowaliśmy kurtki, by dać szansę odparowania i wypoczynku naszym organizmom. W pierwszej kolejności zmierzyłem poziom cukru. Glukometr wskazał poziom 189mg%, więc planując zjeść bułkę o zawartości trzech WW (1wymennik węglowodanowy = 10 gramom cukru) podałem sobie niewielką dawkę insuliny posiłkowej stosowną do dalszego, czekającego mnie marszu. Od razu ustaliliśmy, że pójdziemy w kierunku następnego schroniska pod Klimczokiem, oddalonego tylko pół godziny marszu. Przy bufetowej kasie kupiłem Sebastianowi kilka kartek pocztowych ze schroniskiem i przybiłem na nich pamiątkowe stemple. By zdobyć następną plakietkę, kolega również poddał się stemplowemu rytuałowi. Tak przesiedzieliśmy blisko godzinę, posilając się kanapkami oraz popijając zamówioną herbatą, rozmawiając przy tym na różne tematy. Przed godz. 11-stą ruszyliśmy dalej.

Po dosłownie kilku minutach od schroniska, idąc kamienistą ścieżką, wspinając się lekko do góry, osiągnęliśmy szczyt Szyndzielni (1028m n.p.m.). Szczytowa nazwa najprawdopodobniej wywodzi się od słowa „szyndzioty”, czyli produkowanych na Śląsku Cieszyńskim drewnianych deseczek, zwanych też gontami. Służą one do pokrywania dachów chat i stąd miejscowej ludności. Zapewne lokalni rzemieślnicy z pobliskiej Kamienicy lub Olszówki, w poszukiwaniu surowca na owe gonty, wędrowali na zbocza Szyndzielni, porośnięte poza buczyną również drzewami iglastymi (świerki, jodły i modrzewie). Iglaki najlepiej nadają się na takowe deseczki, będące protoplastą współczesnej dachówki.

Dla upamiętnienia kolejny już raz naszej obecności, pstrykam jedno zdjęcie i ruszamy do przodu. Dalej to już łagodna trasa, prawie płaskim grzbietem, niczym spacerowym traktem o górskim charakterze. Szeroka ścieżka prowadząca w stronę najwyższego wzniesienia, jak i kolejnego schroniska w okolicy, będąca naturalnym przedłużeniem wjazdu kolejką gondolową, stanowi jednocześnie ulubione miejsce spacerowe „niedzielnych turystów”. Poza prawdziwymi zapaleńcami turystyki pieszej, niezważającymi na pogodę, możemy spotkać tutaj wielu narciarzy biegowych zimą, a latem brykistów jeżdżących po górskich trasach rowerowych. Trzeba na nich uważać, szczególnie przy schodzeniu po stromych i mocno zalesionych odcinkach szlakowych, gdyż pojawiają się znikąd, nie zawsze zachowując przy tym zdrowy rozsądek i bezpieczeństwo pozostałych użytkowników.

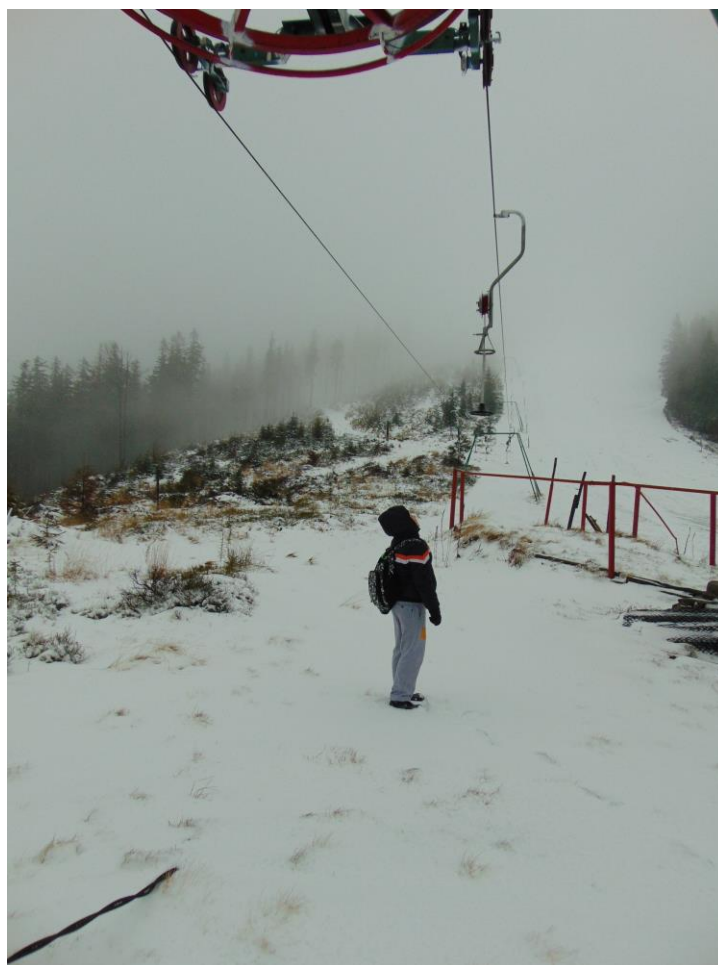
Po kilku minutach marszu mijamy odgałęzienie czarnego szlaku łącznikowego, wiodącego w stronę żółtej trasy z Klimczoka na Błatnią. Idąc dalej, w lepszych warunkach pogodowych, niż dzisiejsze, po prawej stronie odsłoniłaby się nam panorama granicznego pasma Czantorii w Beskidzie Śląskim. A po przeciwnej stronie, pomiędzy pojedynczymi okazami świerków, winniśmy zobaczyć dach kolejnego celu.

Pasma Klimczoka posiada kilka schronisk całodobowych, czym winniśmy się pochwalić. Posiadamy schroniska na Szyndzielni i Klimczoku, do którego zmierzamy. Stamtąd możemy udać się w kierunku kolejnych przystani. Mamy wówczas do wyboru Błatnią lub Stefanek na Koziej Górze, a także Chatę Wuja Toma (736m n.p.m.) pod Przełęczą Karkoszczonek, czy też Chatę na Groniu, umiejscowioną na zboczach Magury. Wszystkie są niewiele oddalone od siebie i stanowią idealną bazę wypadową dla turystów wędrujących po Beskidach. To jest oczywiście moja, osobista interpretacja, a właściwą ocenę pozostawiam znawcom, jak i odwiedzającym te miejsca.

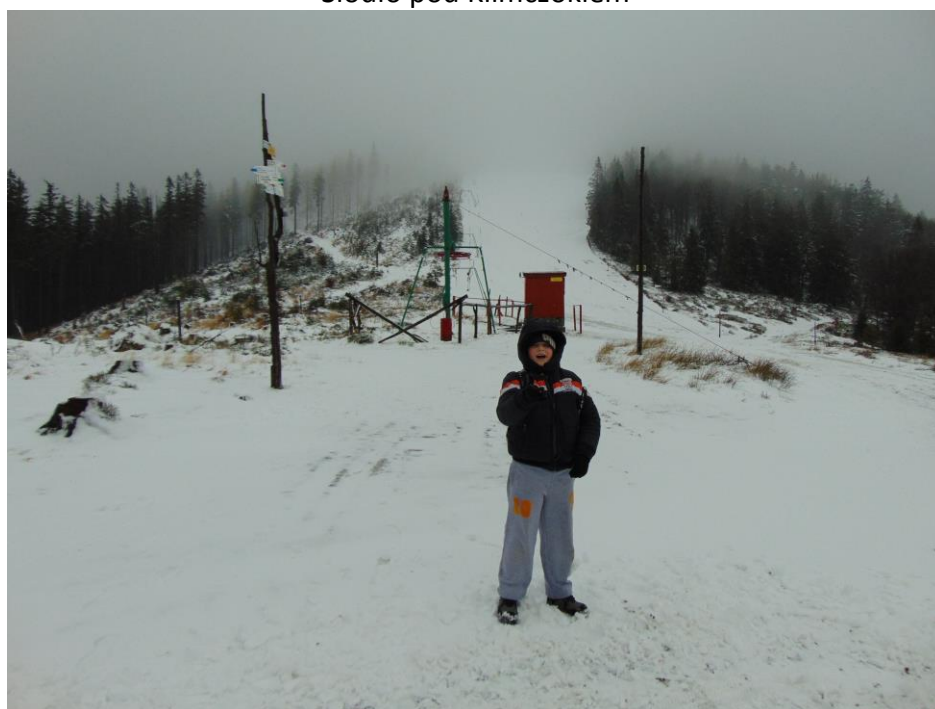
Po drodze, coraz bardziej nawiązywała się więź przyjaźni pomiędzy moim kolegą, a wnukiem Sebastianem. Pomimo dosyć znacznej różnicy wiekowej dzielącej obydwu dyskutantów, rozmawiali ze sobą, jakby znali się latami. Najmłodszemu uczestnikowi naszego trio Janusz zaczął opowiadać o swoich dotychczasowych wędrówkach oraz możliwości pozyskiwania odznak turystyki górskiej, przez co jeszcze bardziej zainteresował słuchacza. W ubiegłym roku zdobył kwalifikacje beskidzkiego przodownika i tym samym posiada uprawnienia do weryfikacji książeczek z trasami przejść. Zaoferował się, że w najbliższym schronisku zrobi mu prezent w postaci kupna takowego woluminu. Przez to dodatkowo nakręcił naszego juniora na wspólne i częstsze wypady w góry.

W dalszym ciągu poruszamy się arterią oznaczoną czerwonym oraz żółtym kolorem, aż do ich rozwidlenia. Dosyć stromym podejściem wiodącym na wprost i do szczytu zaprowadzi nas żółta perć. Z uwagi na wcześniejsze ustalenia i brak perspektywy zobaczenia czegokolwiek, pomijamy ten wariant. Skręcając w lewo, udajemy się na przełęcz mającą charakter wąskiej polany, czyli Siodło pod Klimczokiem (1042m n.p.m.). Po 30-stu, może 40-stu minutach spokojnego marszu, leśną drogą posypaną świeżym śniegiem, będącym już mniej mokrym, jak również i mniej rozlałym, docieramy pod węzeł szlaków turystycznych na

Kowiorku. Bardziej zimowe warunki pogodowe wynikają z racji nieco wyższej, naszej lokalizacji, w porównaniu do pozostawionej niżej Kamienickiej Hali.



Siodło pod Klimczokiem



Rozwidlenie szlaków na Kowiorku (w głębi zamglone podejście na szczyt Klimczoka)

Przełęcz, na którą dotarliśmy oddziela szczyt Klimczoka od sąsiedniej Magury (1109m n.p.m.). Podługowata, o łabędziej szyi polana, przypomina kształtem siedzenie jeźdźców konnych, stąd wzięła się jej właściwa nazwa. Sebe od razu zainteresował nieczynny wyciąg talerzykowy na szczyt Klimczoka. Z ogromną ciekawością przyglądał się stalowej linie ciągnącej narciarzy na wierzchołek wzniesienia. Od razu wymyślał też kolejny zestaw trudnych pytań, niczym w teleturnieju wiedzy o wszystkim, co wiąże się z górami. Przy rogaczu szlaków zrobiłem mu pamiątkowe zdjęcie i ruszyliśmy w pogoń za „uciekającym” kolegą, podążającym w stronę kolejnej, górskiej przystani.



Sebastian pod schroniskiem Klimczok



Schronisko Klimczok w letniej porze

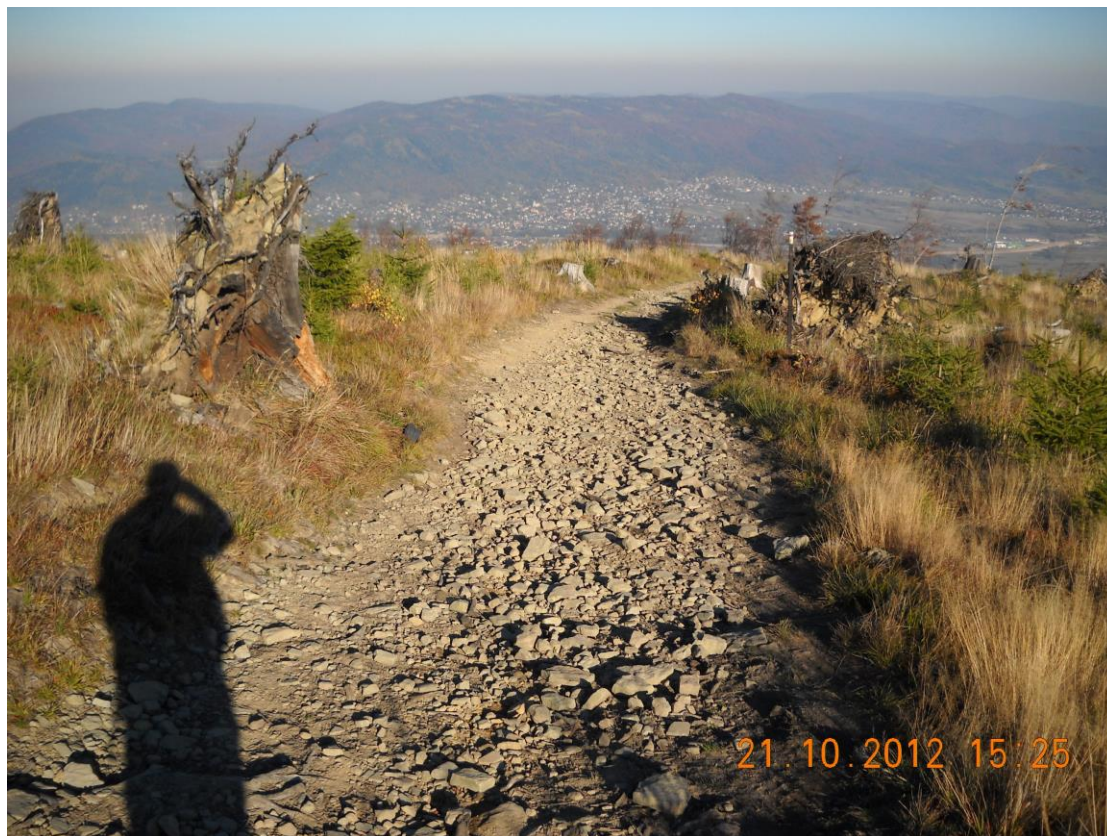


Schronisko Klimczok jesienią (na pierwszym planie Sebastian dwa lata wstecz)

To drugie schronisko PTTK na szlaku dzisiejszej wędrówki. Położone jest na wysokości 1034m n.p.m. Pomimo powszechnie używanej nazwy, usytuowane jest już na stoku sąsiedniej Magury. Okazały budynek „Klementynówki”, bo z taką nazwą, wywodzącą się od imienia pierwszej właścicielki możemy się spotkać, po ostatnim remoncie posiada wysoki standard hotelowy. Posiada kamienną strukturę, ponieważ wcześniejsze konstrukcje drewniane paliły się kilkakrotnie. Jego lokalizacja oraz bliskość kolejki gondolowej sprawia, że stanowi doskonałe miejsce do organizowania Białych oraz Zielonych Szkół, a także koloni letnich dla dzieci i młodzieży. Tutaj krzyżują się liczne trasy piesze, jak i rowerowe, stanowiące dla schroniska idealną bazę wypoczynkową do dalszej wędrówki. Bliskość stoku narciarskiego z wyciągiem talerzykowym na Klimczok jest dodatkowym atutem zimowego wypoczynku. Będąc w schronisku, warto też udać się na oddalony stąd kilka minut drogi, widokowy szczyt Magury.

W przeciągu ostatnich stuleci naturalna Puszcza Karpacka, w której dominowała jodła, buk oraz jawor z modrzewiem, na dużym obszarze Beskidów zastąpiona została szybko rosnącym świerkiem. Na skutek nieodwracalnego błędu w całej gospodarce leśnej, po wielu latach stało się to, co teraz zaobserwujemy w rejonie pobliskiej Magury, Malinowskiej Skały pod Skrzycznem, czy chociażby południowych, jak i wschodnich stoków Baraniej Góry. Nietrafione działanie monokulturowe w lasach minionej epoki objawia się obecnie zamieraniem olbrzymich obszarów świerkowego drzewostanu, zaatakowanego głównie przez największego szkodnika, jakim okazał się kornik drukarz. Tak jest i w tym miejscu, w większości ogołoconym z drzew. Zastaniemy już zbocze ze świeżymi nasadzeniami, ale po wyrębie znacznych obszarów. Połamane lub wyrwione przez wiatr świerki okazały się mniej odporne na niekorzystne dla nich warunki klimatyczne. Jedynym lekarstwem na zaistniałą sytuację jest sukcesywna wycinka chorego drzewostanu w całym regionie, jak i powtórne nasadzenia gatunkami drzew rosnących w pradawnej puszczy. Obecnie służą temu programy ratowania lasów wdrażane przez beskidzkich leśników.

Wróćmy jednak do piękniejszego aspektu krajobrazowego tego miejsca. Przy dobrej przejrzystości powietrza możemy wówczas podziwiać rozległą panoramę górską, jedną z najpiękniejszych w Beskidach. Kilka lat temu wędrowałem przez Magurę czerwoną trasą spod Siodła, schodząc do miejscowości Bystra. Wtedy to widoki były imponujące.



Ze szczytu Magury na pasmo Beskidu Małego z Magurką Wilkowicką oraz Wilkowicami



Widok z Magury na Kotlinę Żywiecką i J. Żywieckie

Mogłem delektować się wyraźną perspektywą pasma Beskidu Małego z Magurką Wilkowicką (909 m n.p.m.) oraz rozległą Kotliną Żywiecką z miastem Żywiec i leżącą na horyzoncie Babią Górę. Patrząc na południe ukazał się pobliski szczyt Skrzycznego z bardzo charakterystyczną wieżą. Kierując wzrok ku zachodowi, między drzewami dojrzymy schronisko na Szyndzielni oraz rozpostartą w dole Bielsko-Białą jak i ościennie miejscowości, z Wilkowicami na czele. Porównywalną panoramę mamy z platformy widokowej Skrzycznego (1257m n.p.m.), będącego najwyższym szczytem Beskidu Śląskiego i należącego do Korony Gór Polski.

Aby ostatecznie dotrzeć pod Klementynówkę, opuszczając Siodło musieliśmy jeszcze podejść lekko pod górę. Po drodze napotkaliśmy grupę młodych piechurów, ubranych niczym żołnierze do zadań specjalnych. Poprosiłem, czy mógłbym zrobić im zdjęcie wraz z Sebastianem, czego oczywiście nie odmówili. Czy to byli przebierańcy, czy prawdziwi współcześni rycerze, tego nie zdążyłem się dowiedzieć. A szkoda, może byli to komandosi

z elitarnego, bielskiego batalionu powietrznodesantowego. Młody mógłby pochwalić się przed kolegami w klasie, że nie tylko był w górach, to jeszcze na dodatek rozmawiał z prawdziwymi komandosami i ma z nimi zdjęcie. Jak szybko przybyli, tak szybko pomknęli w przeciwnym kierunku.



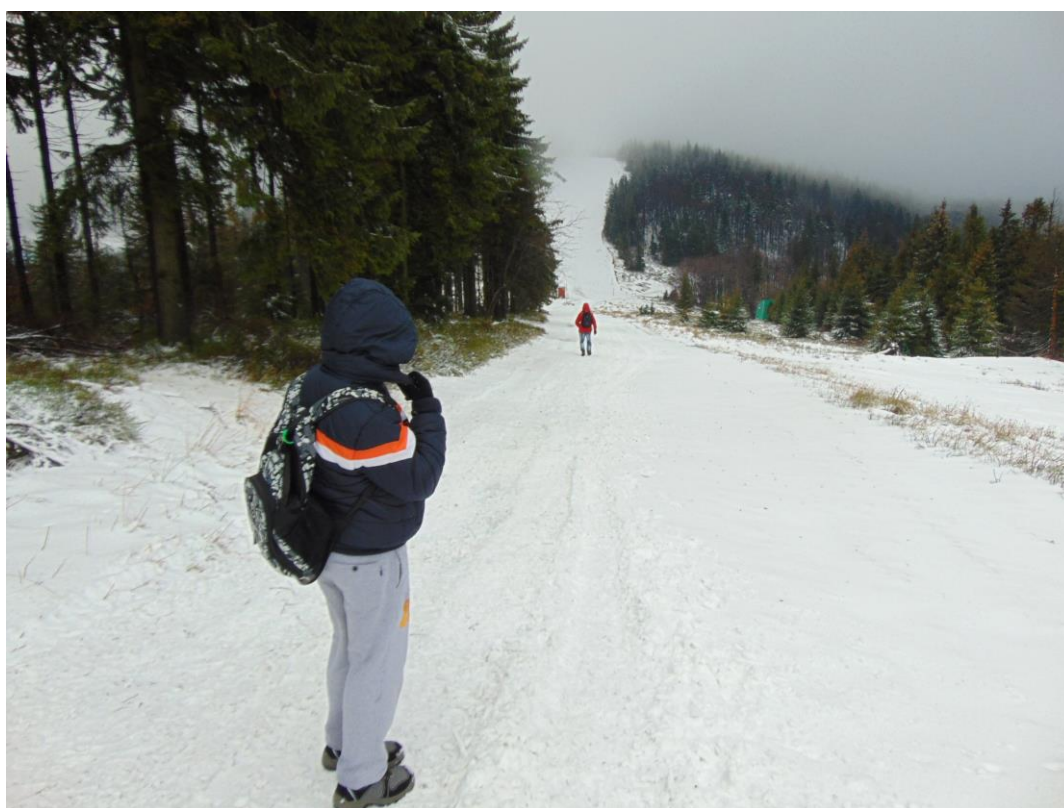
Czyżby to komandosi – z Sebą?

Do schroniska przyszliśmy kwadrans po godz. 11-stej. Janusz czekał w środku, zajmując nam miejsca. Wolnych stolików było dosyć sporo, ponieważ tylko najbardziej zagorzali wędrowcy poruszali się dzisiaj po szlakach. Szybko pozdejmowaliśmy kurtki i zajęliśmy się czyszczeniem osobistych „magazynów żywieniowych” dźwiganych w plecakach. Pokrzepiając się zamówioną kawą, kolejny raz skontrolowałem poziom cukru. Od ostatniego pomiaru minęła ponad jedna godzina. Glukometr wskazał poziom 62mg%. Był on zdecydowanie za niski. Skorzystałem z okazji pośłodzenia gorącego napoju dwiema łyżeczkami cukru, czego normalnie nie robię. Teraz jednak konieczne było jak najszybsze podniesienie glukozy we krwi, by nie dopuścić się do stanu hipoglikemicznego. Niezwłocznie zająłem się też konsumowaniem następnej butki. Sebastian opróżnił z kolei termos z herbatą, ochoczo także jedząc własne kanapki. Jego zaczerwienione policzki świadczyły o porządnym dotlenieniu całego organizmu oraz ogromnym apetycie, którego i tak mu zwykle nie brakowało.

Po chwili kolega wyciągnął z plecaka książeczki GOT-u z zamiarem oznakowania ich pieczęcią schroniska. Udał się wraz z Sebastianem w stronę bufetu, bo mu już wcześniej obiecał kupno takowej broszury. Jakież było rozczarowanie młodego wędrowcy, gdy się okazało, że ich najzwyczajniej w świecie zbrakło. Wnukowi od razu zrzędnęła mina i był bardzo rozczarowany owym faktem. Dla pocieszenia też dałem pieniądze, by kupić kilka pocztówek i na nich umieścić pamiątkowe stemple.

Widząc za oknem, że pogoda ma tendencje do poprawiania się ustaliliśmy, że udamy się do kolejnego schroniska na Błatniej. Może tam uda się spełnić obietnicę daną młodemu człowiekowi. Wybierając wariant dalszej marszruty, mieliśmy możliwość powrotu przez schronisko na Szyndzielni oraz zjeżdżając kolejką, wstąpić powtórnie do karczmy na Dębowcu. Tym samym marzenie początkującego piechura, o pozyskaniu pieczętek z trzech miejsc, stałoby się jak najbardziej realne. Tym samym odpadła wersja marszu do czwartego schroniska Stefanka, na Koziej Górze (683m n.p.m.). Stamtąd trudniej byłoby powrócić do samochodu.

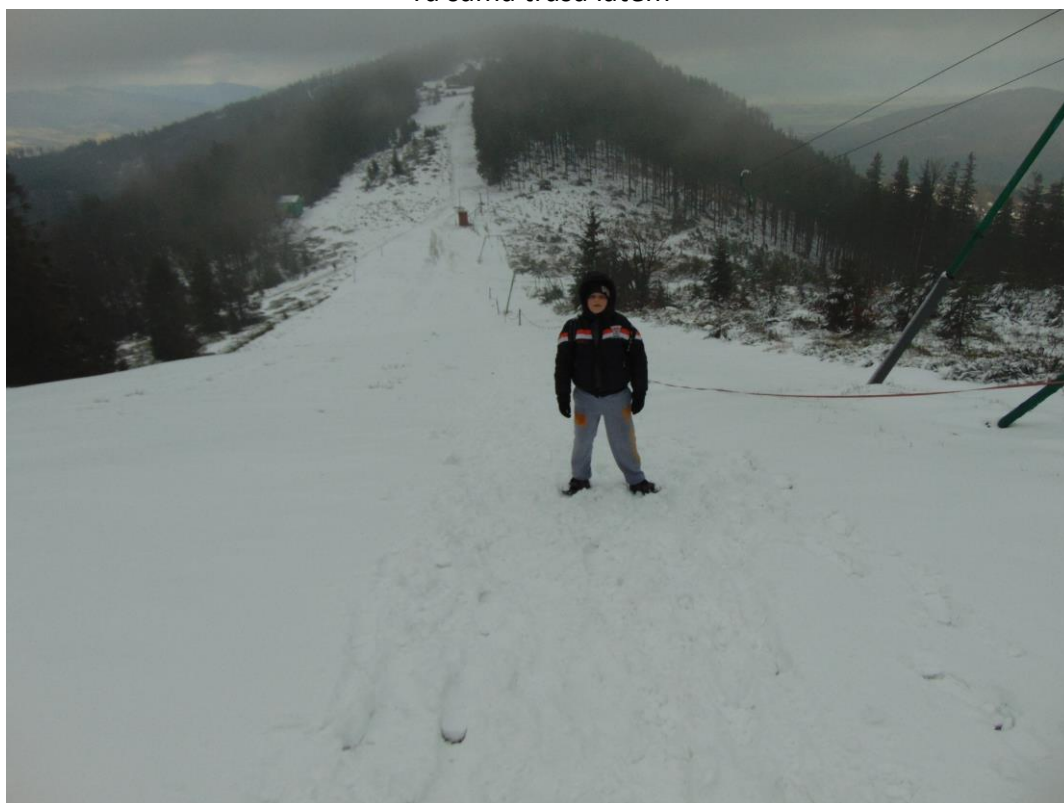
Ciepłe schronienie opuszczaliśmy w samo południe, naładowani świeżą i pozytywną energią. Obierając azymut na kulminację Klimczoka, musieliśmy powrócić na Kowiorek i stamtąd podejść dosyć stromym zboczem na szczyt. Poza nami, na stoku nie było nikogo. Poprzez zainstalowanie niewielkiego wyciągu talerzykowego, w normalnych warunkach zimowych miejsce to opanowane jest przez narciarzy. Musielibyśmy wówczas poruszać się po prawej stronie wzniesienia, by nie przeszkadzać zjeżdżającym. Teraz jest to obojętne, jak idziemy, byleby wspiąć się na górę.



Ze schroniska idziemy na szczyt Klimczoka



Ta sama trasa latem



Ostatnie metry podejścia na szczyt (z tyłu wzniesienie Magury ze schroniskiem)

Już na początku podejścia usłyszałem słowa powątpiewania płynące z ust Sebastiana. *Nie dam rady, to za stromo, za wysoko i za daleko* - zaczął narzekać, a to tylko 10 minut niewielkiej wspinaczki. Mamy bunt na okręcie - pomyślałem i od razu przeszedłem do

psychologicznego kontrataku. W pierwszej kolejności trzeba było zmienić jego negatywne nastawienie na ostre podejście, obsypane kilkunastoma centymetrami białego puchu. Delikatnie wjeżdżając mu na ambicję, marzącemu o wyjeździe w Tatry, dałem do zrozumienia, że to wzniesienie, w porównaniu z wysokogórkimi turniami, jest niewielkim kopczykiem. Jeżeli teraz „pęka”, to z takim nastawieniem nie ma jakichkolwiek szans na pokonywanie bardziej wyniosłych, tatrzańskich grzbietów. Tłumaczyłem, że zatrzymywanie się i patrzeć ciągle przed siebie nie sprzyja tworzeniu pozytywnego myślenia. W końcu doradziłem, by skupił się bardziej na śladach pozostawionych na śniegu przez naszego kolegę i aby po nich to, krok za krokiem, powoli zaczął iść do celu. Moja perswazja przyniosła końcowy efekt, bo kolejne minuty upłynęły już bez narzekań. Pokonywaliśmy stok w bezpośrednim sąsiedztwie wyciągu narciarskiego. Wkrótce znaleźliśmy się prawie pod szczytowym wierzchołkiem i trawersując zbocze odbiliśmy na drugą stronę.



Skalny ogródek pod Klimczokiem letnią porą (w głębi, po prawej Siodło wraz ze schroniskiem)



Skalniak pod Klimczokiem latem

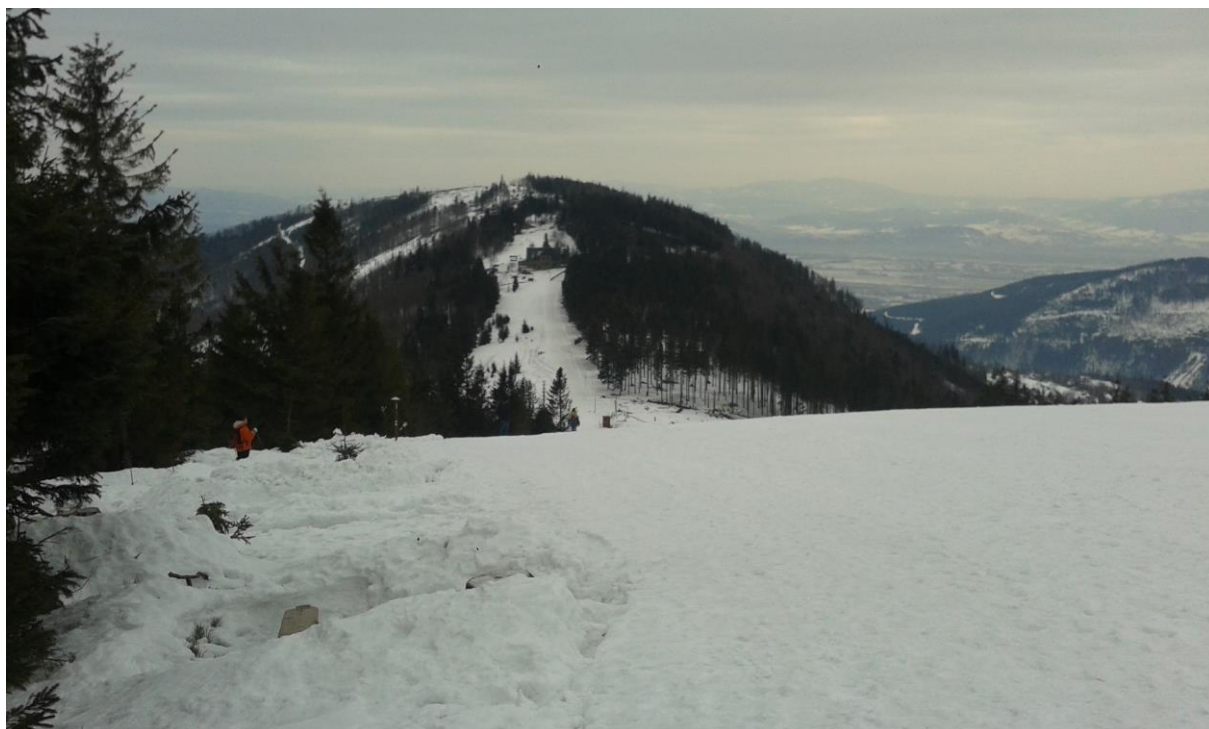
Tutaj znajduje się bardzo ciekawe miejsce, które chciałem mu pokazać. Jest to mini ogródek skalny wraz z ławkami, ogrodzony kamiennym murkiem. Wewnątrz niego znajdują się niewielkie klombiki obłożone kamieniami z nazwami szczytów, z których to najprawdopodobniej zostały przywiezione. Ciekawym pomysłem okazał się też sposób wykorzystania kilku zniszczonych par butów podróżniczych, ciekawie wkomponowanych w całość, służących za kwiatowe doniczki. By mieć lepszą orientację w położeniu geograficznym, na kawałku świerkowego klocka wymalowana została róża wiatrów, z kierunkami najbliższych szczytów. Obok skalniaka, schowana częściowo w świerkowym zagajniku, stoi sobie niewielka, drewniana chatka, bardziej przypominająca gospodarczą szopę na opał. W jej wnętrzu jeszcze nie byłem, a tam podobno można kupić mnóstwo pamiątek, map oraz turystycznych drobiazgów.



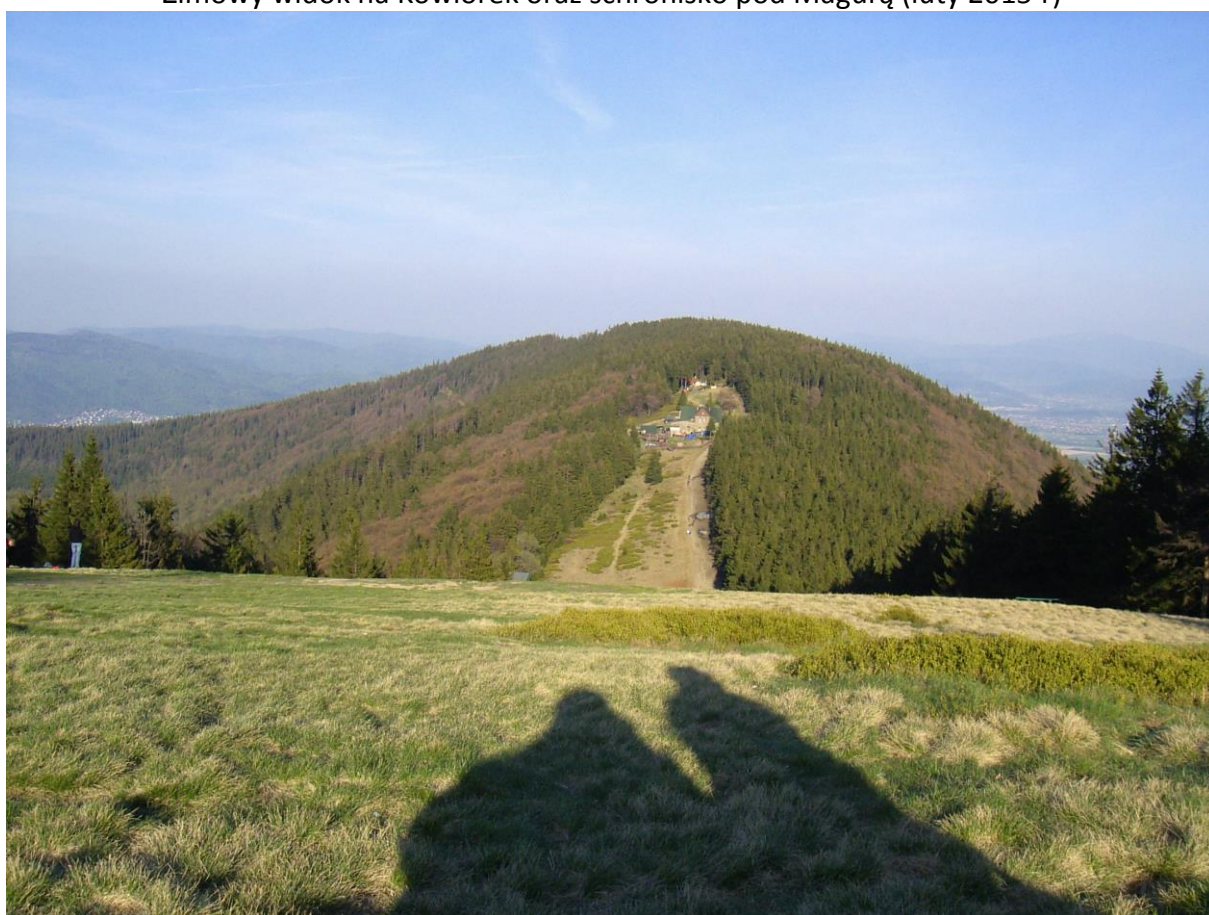
Drewniana chatka z pamiątkami pod szczytem Klimczoka

Także i tym razem szybko wykerowaliśmy się w kierunku kolegi czekającego pod masztem z antenami telekomunikacyjnymi. Przez dobrą lornetkę wieżę tą, jak pisałem na początku, widać z balkonu mojego mieszkania.

Posiadający kopulasty kształt Klimczok (1117m n.p.m.) przywitał nas miejscowym zamgleniem całej, podszczytowej partii. Nie było sensu zatrzymywania się i niezwłocznie ruszyliśmy żółtą percią w obranym kierunku. Na Błatnią mamy ponad jedną godzinę marszu.



Zimowy widok na Kowiorek oraz schronisko pod Magurą (luty 2015 r)



Ten sam widok latem



Zimowa panorama ze szczytu Klimczoka

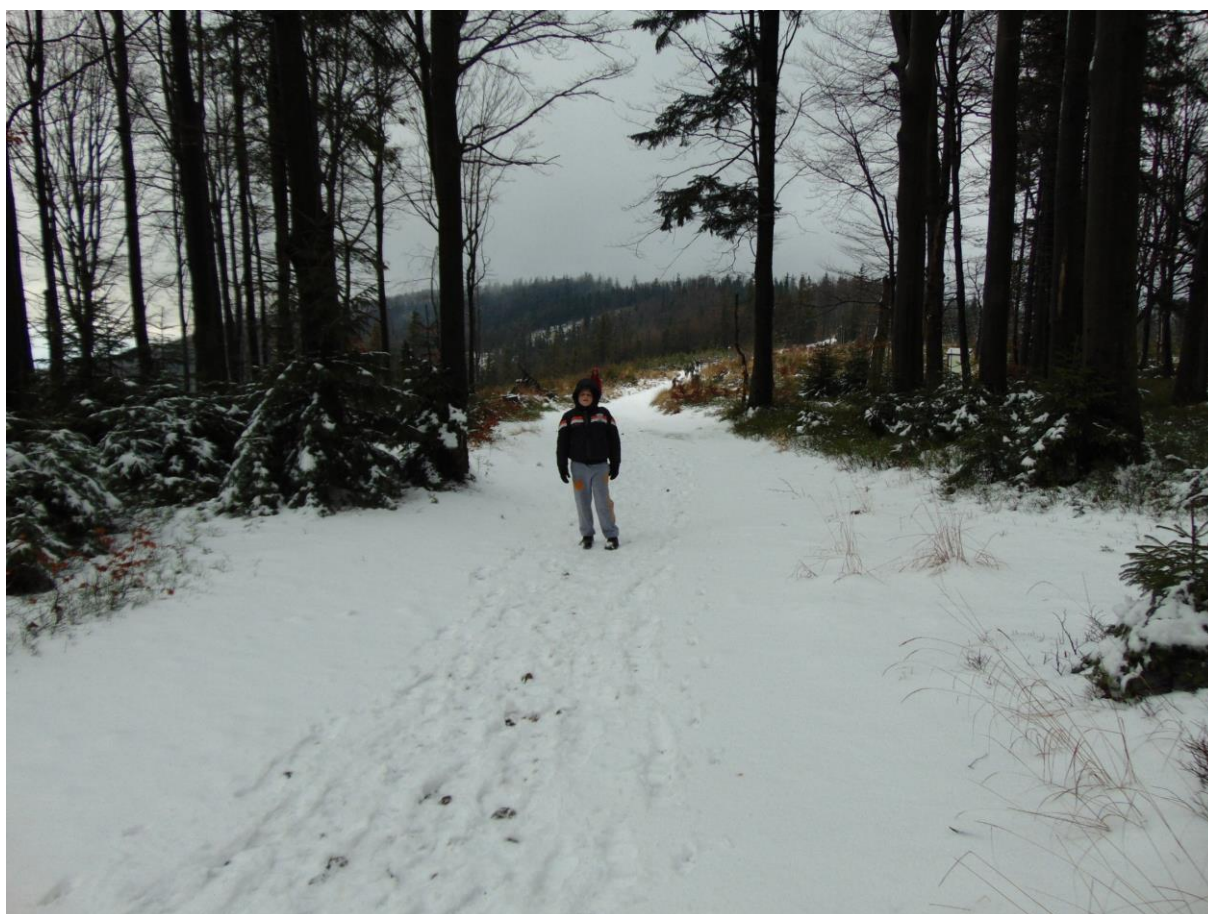
Jeżeli będziemy mieli pogodowe szczęście, wówczas to na wprost ukaże nam się masyw Magury wraz ze schroniskiem, w którym dosłownie przed chwilą odpoczywaliśmy. Na lewo zobaczymy pasmo Magurki Wilkowieckiej wraz z Beskidem Małym oraz częściową panoramę miasta Bielska-Białej, ukazującą się ponad czubkami buków oraz świerków porastających północno – wschodnie zbocze Klimczoka. Patrząc w kierunku południowo - wschodnim możemy rozkoszować się panoramą pasma Babiej Góry oraz Pilska. A ponad nimi, szczególnie w okresie zimowej inwersji termicznej, doskonale widoczne są ośnieżone szczyty Tatr. Bardziej na południe, czyli kierując się na prawo, mamy pobliski szczyt Skrzycznego z poniższą Halą Jaworzyna. Kierunki północne, jak i zachodnie ograniczone zostały widokowo szybko rosnącym, młodym lasem. Po stronie zachodzącego nad Goryczną Skalką słońca, bo tak jeszcze w XIX w. nazywał się ów szczyt, znajduje się ciąg rozpadlin skalnych wraz z kilkoma niewielkimi jaskiniami. Według legendy, w największej z nich miał ukrywać się najsłynniejszy zbójnik beskidzki żyjący w XVII wieku. Zwano go Klimczok lub też Klimczak, od którego to wzięła się obecna nazwa wzniesienia.

Od środka dnia minęło nam już pół godziny i należało podkręcić tempo marszu, aby za widoku obejść dalszą część trasy. Zjeżdżając kolejką gondolową winniśmy wówczas zdążyć powrócić do auta, przed szybko zapadającym o tej porze roku zmrokiem. Kierując się na zachód i mijając kolejne siodło (Siodło Zachodnie pod Klimczokiem - 1068m n.p.m.), po niespełna kwadransie dotarliśmy do czarnego szlaku łącznikowego, którym będziemy iść w drodze powrotnej na Szyndzielnię. Sukcesywnie, ale łagodnie schodziliśmy coraz niżej, tracąc przy tym wysokość. Odczuwaliśmy to po ścieżce, na której konsystencja niewielkiej

warstwy lepiącego się pod butami śniegu, zmieniała się z każdym metrem, by na polanie pod Błatnią ledwie znaczyć okalający teren bardzo mokrym, białym opadem.

Kolejnym punktem trasy był szczyt Trzy Kopce (1082m n.p.m.) oddalony niecały kilometr od Klimczoka. Nieopodal niego napotkamy pozostałości po prywatnym schronisku, zniszczonym pod koniec ostatniej wojny. Na południowym zboczu wzniesienia znajduje się jaskinia o podobnie brzmiącej nazwie (Jaskinia w Trzech Kopcach), w której najprawdopodobniej ukrywali się miejscowi zbójnicy z rodu Klimczaków. Góra Trzech Kopców stanowi obecnie naturalną granicę pomiędzy miastami Bielsko-Biała i Szczyrk oraz gminą Brenna, a nazwa szczytowa wywodzi się od usypanych w minionych epokach trzech ziemnych pagórków, oddzielających stykające się tutaj rubieżne tereny.

Docierając z kolei na leśną przecinkę, osiągnęliśmy skrótową ścieżkę doprowadzającą do czerwonego szlaku prowadzącego na Przełęcz Karkoszczonka, jak i do prywatnego schroniska Chata Wuja Toma.



Przy rozwidleniu, skrót na Karkoszczonkę (na pierwszym planie Sebastian a za nim Janusz)

Po przeciwnej stronie naszej perci, czyli północnej, rozciąga się Rezerwat Stoku Szyndzielni, będący jednym z najstarszych rezerwatów przyrody w Beskidzie Śląskim. Sama nazwa jest myląca, gdyż winna być przypisana północnym jak i północno-wschodnim stokom Trzech Kopców, opadających w stronę Doliny Wapienicy. O godzinie 13-tej jesteśmy na ostatnim wzniesieniu docelowym, czyli Stołów (1035 m n.p.m.). Porównywalny ze stołem płaski wierzchołek zainicjował jego nazwę geograficzną. Dawniej pokryty był głównie lasem bukowym, obecnie na znacznym obszarze został wykarczowany.

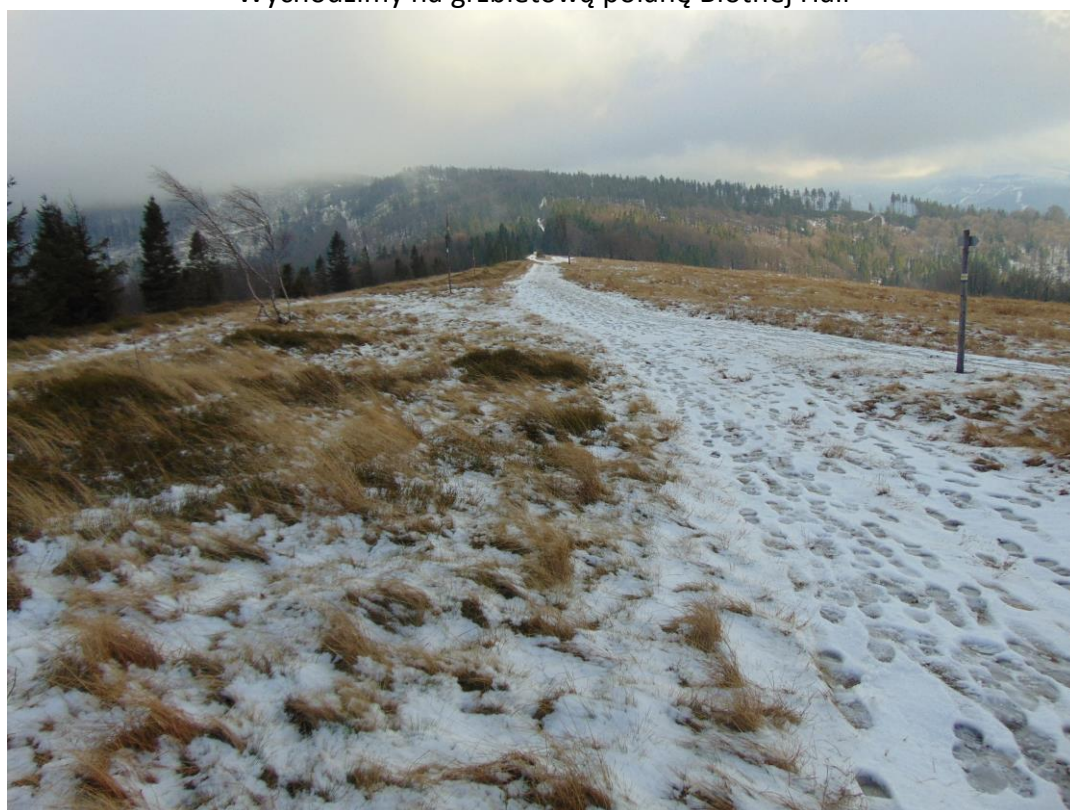


Z Sebastianem osiągamy szczyt Stołów

Końcowy odcinek wiodący na podłużną polanę grzbietową, rozciągającą się pod szczytem Błatniej, pokonaliśmy w niespełna pół godziny. Hala Błotna przywitała nas pierwszymi oznakami przecierającego się z chmur nieba. Porywisty wiatr nie zmęczył się swoją dotychczasową pracą i ani myślał wyhamowywać impetu podmuchów. Ale to dzięki niemu, na zachodnim niebie zaczęły ukazywać się nieśmiało pierwsze promienie słoneczne, dające nadzieję na poprawę wybitnie anty wędrówkowej pogody. W porównaniu do najwyższego miejsca, czyli szczytu Klimczoka, to teraz jesteśmy 200 metrów niżej. Niby to niewiele, ale widać różnicę w szybko topniejącej, cienkiej okrywie śniegowej, zamieniającej się na łąkowej ścieżce w breję. Temperatura powietrza oscylowała w granicach zera stopni C, ale z racji silnego wiatru i bardzo wilgotnego frontu atmosferycznego, temperaturę odczuwalną mieliśmy o wiele niższą. Można rzec przewiało nas zdrowo.



Wychodzimy na grzbietową polanę Błotnej Hali



Trawiasta polana szczytu Błatniej

W schronisku znowu się zagrzejemy. Dopingowani tą myślą udaliśmy się w jego kierunku, wcześniej osiągając szczyt, zwany inaczej Błotny (917 m n.p.m.), leżący na końcu trawiastej polany. Obok znajduje się wyniosły kopiec, o trudnym do określenia

przeznaczeniu. Najprawdopodobniej chodzi tu o zabudowaną w ten sposób studnię z wodą dla pobliskiego schroniska. Przy nadarzającej się okazji warto to sprawdzić u źródła, czyli u gospodarza obiektu.

Sebastian od razu poszedł w ślady naszego kolegi, wspinając się na czubek nasypu. Przy dobrej przejrzystości powietrza jest to doskonały punkt widokowy na całą okolicę. Przy dzisiejszej aurze niewiele mogli dojrzeć, więc od razu ruszyliśmy do trzeciego na naszym szlaku schroniska PTTK.



Pod schroniskiem Błatnia



Schronisko Błatnia od strony południowej (latem)

Po kilku minutach znaleźliśmy się w ciepłym, ale prawie pustym pomieszczeniu górskiej przystani. Pogoda najwyraźniej zniechęciła większość turystów. Spełniając największe marzenie Seby, Janusz kupił w bufecie książeczkę GOT-u i obaj niezwłocznie przystąpili do pieczęciowego ceremoniału. Natomiast moim, nadrzędnym celem było sprawdzenie stanu cukrów. Glukometr wyświetlił wynik 103mg%, co świadczyło o właściwie prowadzonej w czasie wędrówki kontroli mojej cukrzycy. Zajęliśmy się jedzeniem tego, co pozostawało w naszych plecakach. Mającemu „wilczy apetyt” wnukowi musiałem zamówić dodatkową zapiekankę, a kolega raczył się gorącą zupą żurkową. Ze względu na wrażliwość mojego systemu trawienego, osobiście unikam wszelkich dań barowych i zadowolilem się tym, co jeszcze miałem.

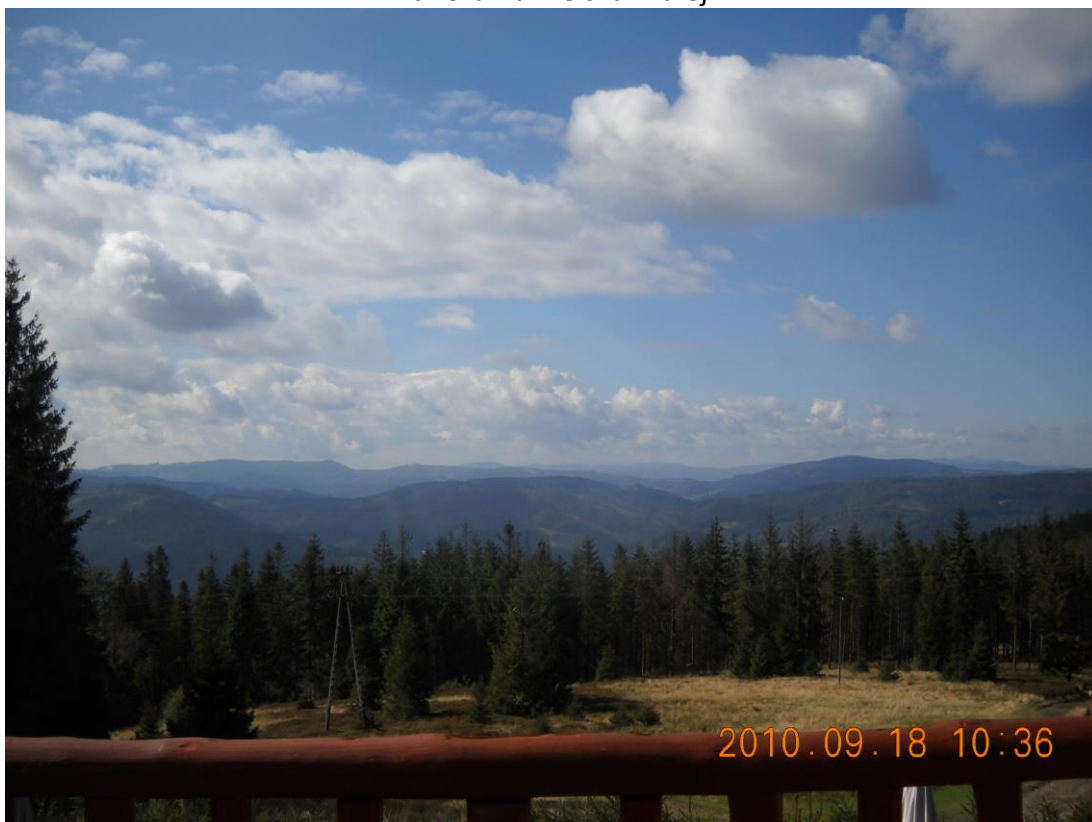
Odpoczęci oraz zregenerowani fizycznie, kilkanaście minut po 14-stej postanowiliśmy ruszyć w drogę powrotną. Wracaliśmy tym samym szlakiem, którym przyszliśmy z Klimczoka. Pogoda poprawiła się na tyle, że gdyby teraz wejść na podszczytowy kopiec, to na północy zobaczylibyśmy rozległą panoramę Bielska-Białej wraz z okolicznymi miejscowościami, a w dalszej perspektywie podłużny zbiornik Jeziora Goczałkowickiego. Obracając się w kierunku wschodnim dojrzymy stoki Szyndzielni oraz Klimczoka z niższymi zboczami szczytów, będących na trasie żółtego szlaku. Za Klimczokiem, bardziej na prawo, mamy masyw Skrzycznego i ciągnący się od niego w kierunku południowym, poprzez Malinową Skalę i Zielony Kopiec, główny grzbiet Pasma Wiślańskiego, zwany też Pasmem Baraniej Góry (1220m n.p.m.). W najbliższym sąsiedztwie południowej strony wynurzy się kotlina wsi Brenna, a ponad nią szczyty Kotarza, Trzech Kopców Wiślańskich, czy bardziej już na zachód wzniesienie Równicy. Wytrawny obserwator dostrzeże odleglejsze, graniczne szczyty Stożka oraz Wielkiej Czantorii, górujące nad Wisłą i Ustroniem, a także leżącą już po stronie czeskiej Łysą Górę (1323m n.p.m.), będącą najwyższym szczytem Beskidu Śląsko-Morawskiego.



Ze szczytu Błotnego na północ (Bielsko-Biała i okolice po prawej oraz J. Goczałkowickie na lewo, w głębi obrazu - zdjęcie sprzed kilku lat)



Panorama Bielska-Białej



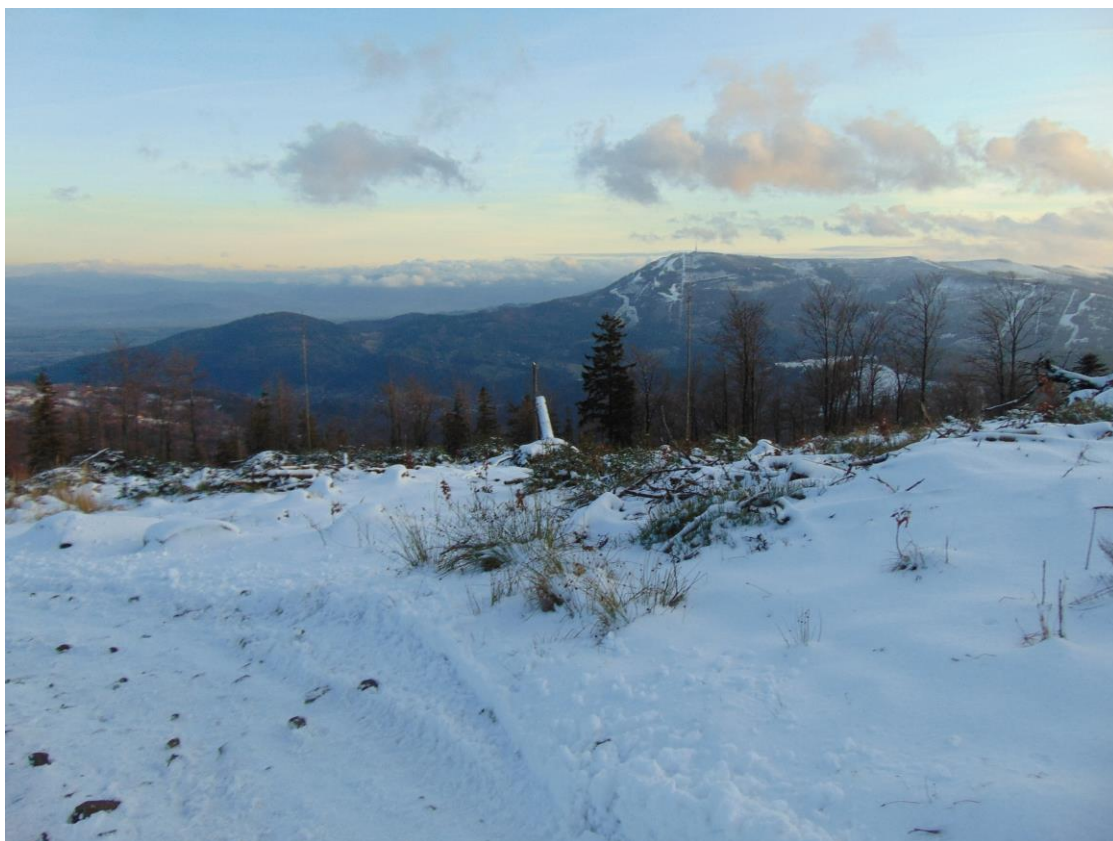
Widok z tarasu schroniska Białnia na południe

Nie czas nam było na obserwację, więc nie zatrzymując się pomaszzerowaliśmy dalej. Goniliśmy uciekający dzień, bo wnet zacznie się ściemniać, a według mapy do pokonania mamy blisko dwie godziny drogi. Jeżeli przyśpieszymy, tym prędzej dotrzemy pod kolejkę. Poruszaliśmy się teraz w odwrotnym kierunku, czyli na wschód. Bardzo silny południowo - zachodni wiatr pchając nas przed siebie, był teraz sprzymierzeńcem. W niecałą godzinę osiągnęliśmy polanę ze skrótem do Karkoszczonki.

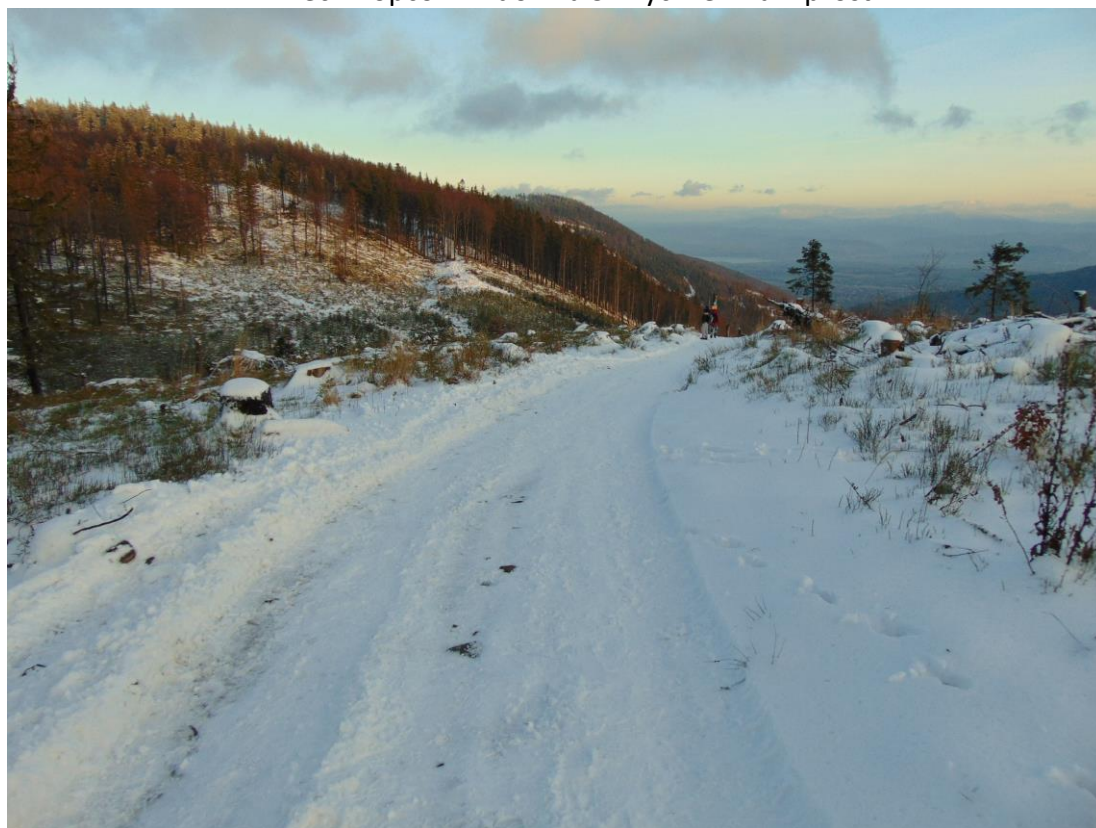


Janusz wraz z Sebastianem przy rozwidleniu na Karkoszczonkę

Następnie przyszła kolej na wejście pod szczyt Trzech Kopców. Pogoda stopniowo zaczęła wynagradzać nam trudy dzisiejszej wędrówki, odsłaniając coraz bardziej swe horyzonty. Odkryty teren szczytowy, po wyrębie chorych i powalonych przez wiatr halny świerków, dawał możliwość głębszej obserwacji kierunku marszruty. Słońce świeciło już bardzo nisko, ponad linią drzew, nieuchronnie pochylając się ku zachodowi. W pełnej krasie oświecało swymi promieniami cały szczyt Skrzycznego wraz z odchodzącym na prawo Pasmem Baraniej Góry. Po przeciwnej stronie najwyższego szczytu Beskidu Śląskiego można było dojrzeć część Kotliny Żywieckiej ze sztucznym zbiornikiem na Sole, czyli Jeziolem Żywieckim. Bezpośrednio przed nami rysowało się zalesione podejście na Siodło Zachodnie pod Klimczokiem.



Z Trzech Kopców widok na Skrzyczne - na wprost

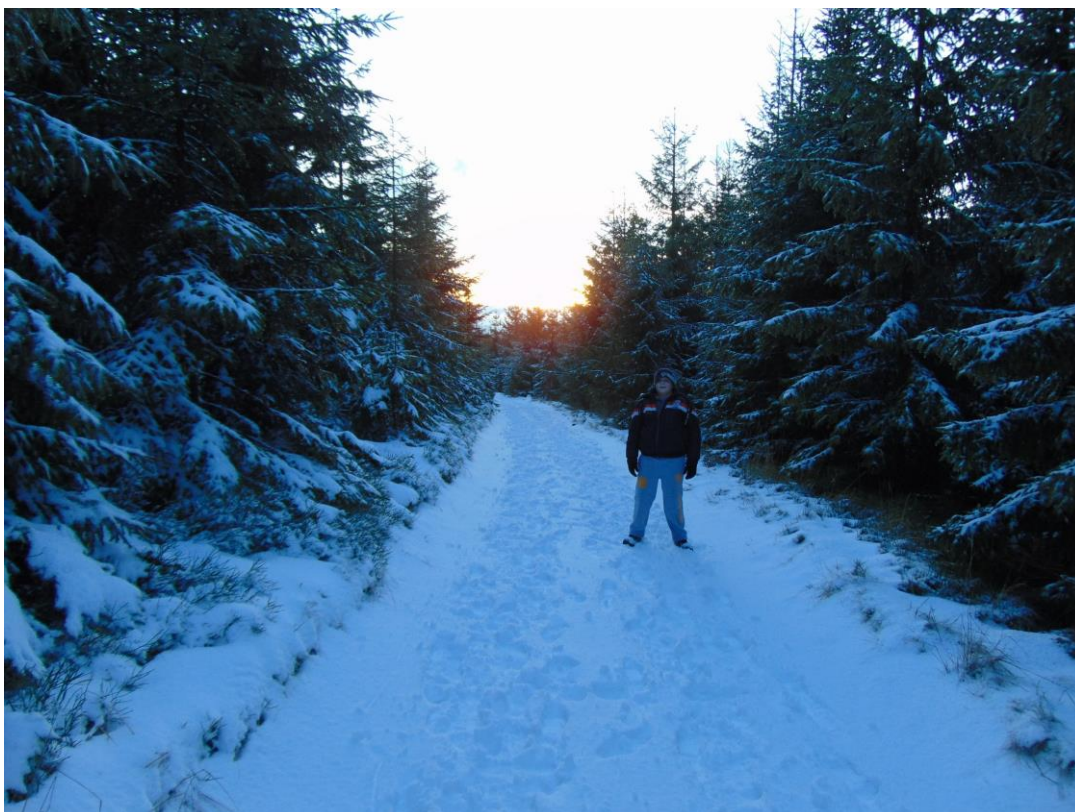


Na wprost, w głębi Kotlina Żywiecka

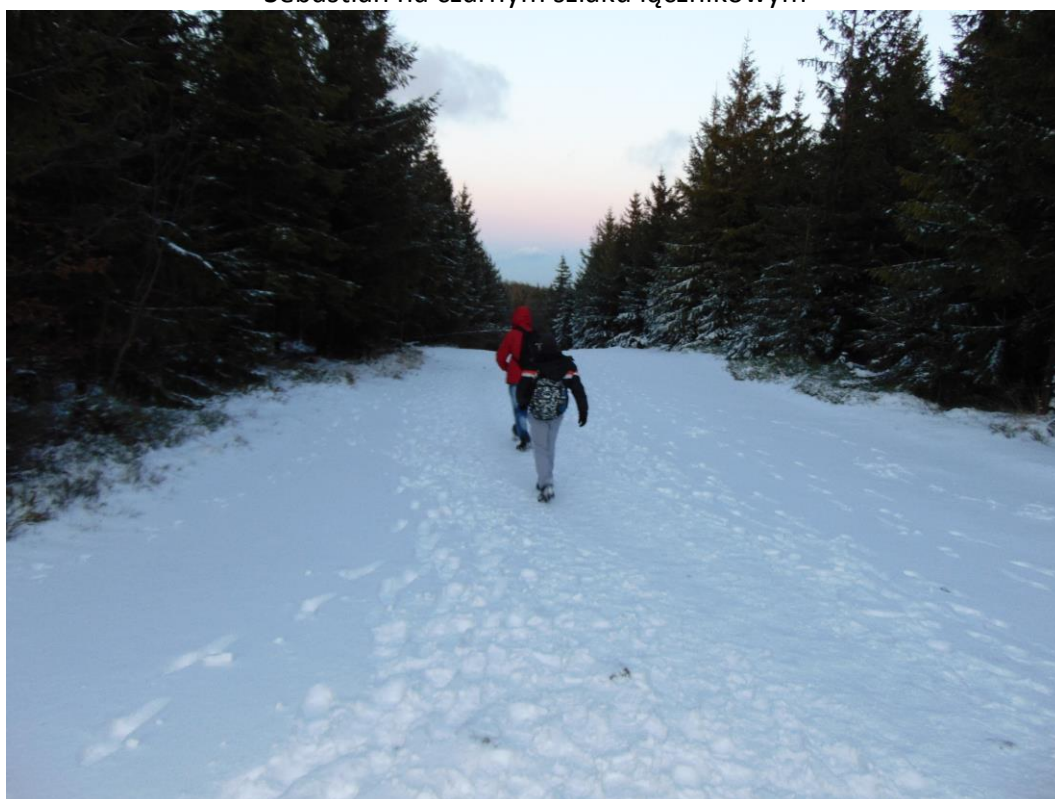


Powrotny szlak na Siodło Zachodnie pod Klimczokiem (z Januszem w tle)

Po kilku minutach dotarliśmy do rozwidlenia tras, na którym opuszczać będziemy żółtą perć i skręcając w lewo udamy się czarnym skrótem do schroniska na Szyndzielni. W ostatnich chwilach świecącego i stykającego się z linią horyzontu słońca, poruszaliśmy się wśród świerkowego młodnika tego mało uczęszczanego szlaku.



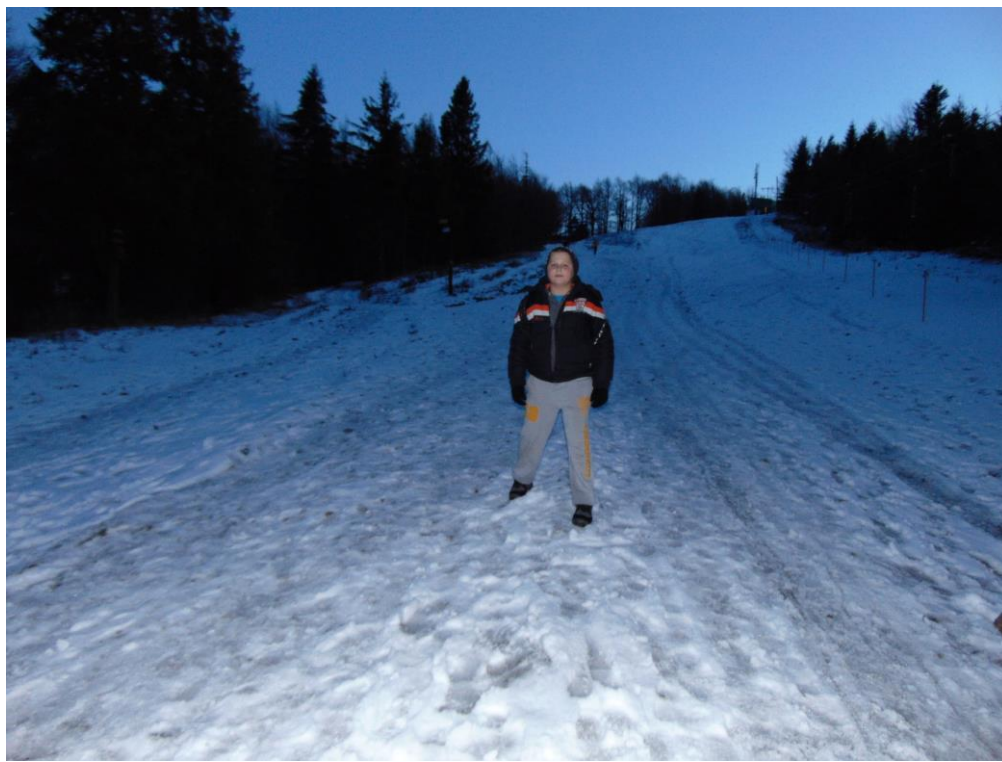
Sebastian na czarnym szlaku łącznikowym



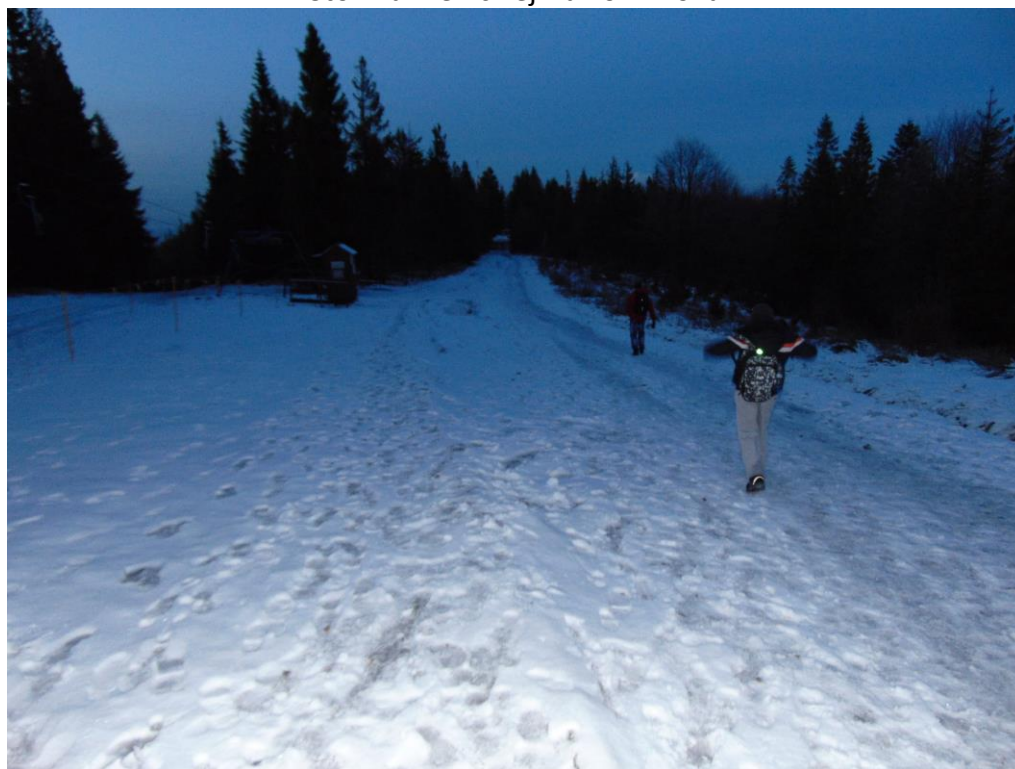
Wracamy do schroniska na Szyndzielni

Na kwadrans przed 16-stą pożegnaliśmy skrótowe połączenie i powróciliśmy na główny szlak, zamykając w tym miejscu szlakową pętlę. Na chwilę wstąpiliśmy jeszcze raz do schroniska na Szyndzielni, by Sebastian mógł przybić drugą pieczętkę i udaliśmy się ku górnej

stacji gondolowej. Przez ostatni kwadrans słońce zdążyło się już schować za linią horyzontu pozostawiając za sobą jasną smugę nieba. Ona to sprawiała, że przy bielejącym jeszcze śniegu dawała sporą dawkę jasności otoczenia. Powoli, ale systematycznie zapadał zmrok. Z każdą upływającą minutą, w swej słabnącej poświacie, dzień ustępował nocy.



Stok Kamienickiej Hali o zmroku

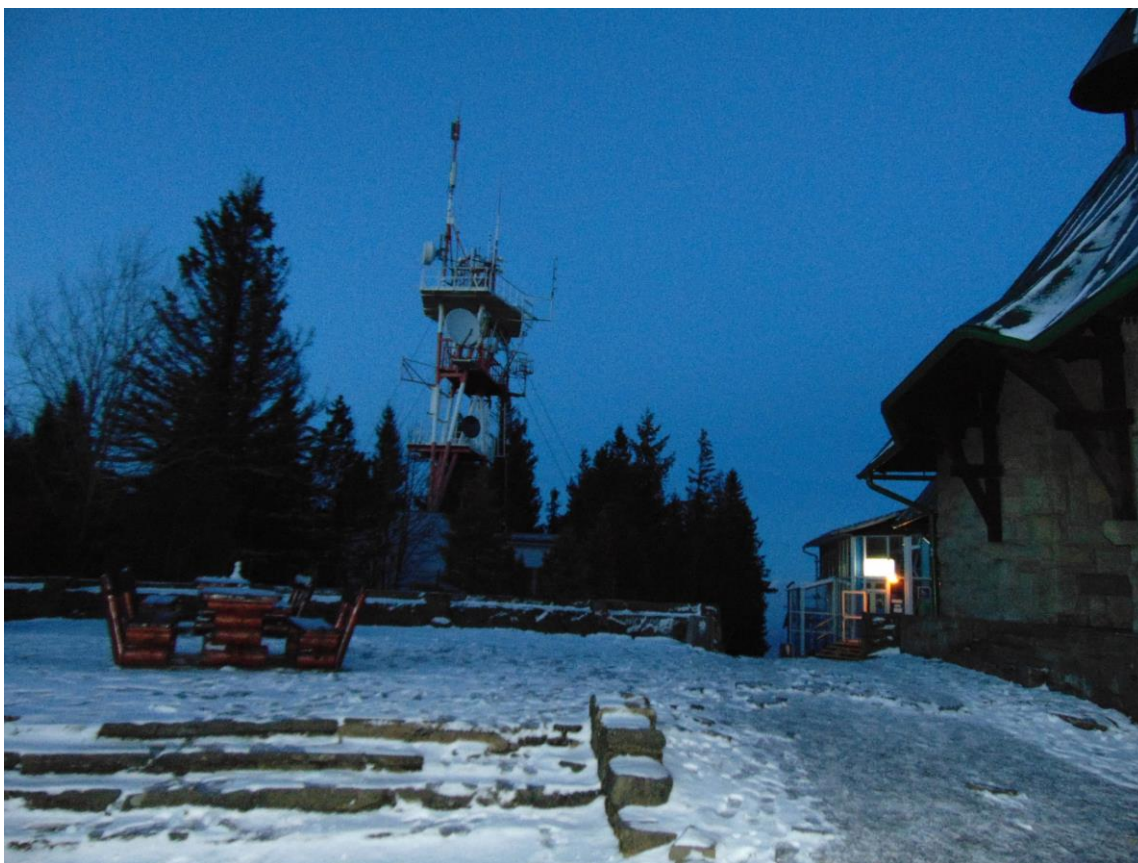


Ostatnie metry przed górną stacją kolejki

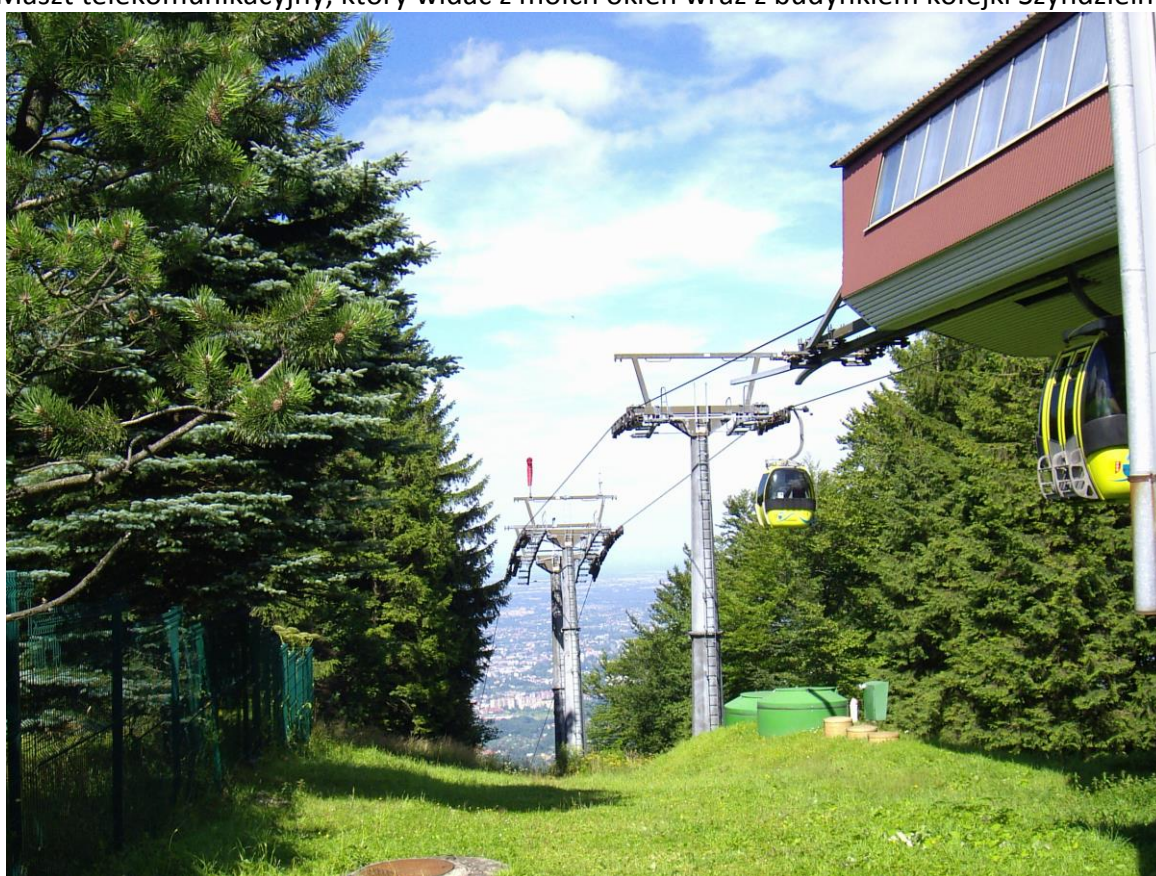
Pod budynkiem kolejki zrobiliśmy ostatnie zdjęcia i trzeba było podjąć ostateczną decyzję. Czy zjeżdżamy, czy może jeszcze schodzimy? Drugie rozwiązanie było dosyć ryzykowne, gdyż wiązało się z finalnym trawersowaniem w szybko zapadających ciemnościach. Pozytywnym czynnikiem był fakt, że zarówno Janusz jak i ja, kilkakrotnie już tędy wędrowaliśmy, a końcowy odcinek czerwonej trasy nie przedstawiał większych trudności marszowych nawet o zmierzchu, prowadząc leśną drogą, równą i w miarę szeroką, aż pod gospodę na Dębowcu.



Górna stacja kolejki gondolowej o zmroku



Maszt telekomunikacyjny, który widać z moich okien wraz z budynkiem kolejki Szyndzielnia



Górna stacja kolejki latem (w dole panorama Bielska-Białej)

Po krótkim namyśle Sebastian stwierdził, że również chce iść dalej. Przemierzone dzisiaj kilometry były największym jego dotychczasowym osiągnięciem zarówno pod względem długości jak i stopnia trudności. Ominęliśmy budynek czynnej jeszcze kolejki i udaliśmy się, najszybciej sprowadzającym na dół, zielonym oznaczeniem szlakowym. Idąc w szybkim tempie będziemy mieli niecałą godzinę marszu. Pierwsze metry tej perci są dosyć strome, a z uwagi na ciekawą warstwę mokrego śniegu, dodatkowo okazały się śliskie. Szedłem bardzo blisko Seby, podając nawet rękę, by go asekurować przed ewentualnym potknięciem się na mokrej nawierzchni. Wystające korzenie z drzew oraz śniegowa papka na stromiźnie, tylko czyhały na nierozważne kroki każdego z nas. Dlatego szliśmy wolniej, zmuszając Janusza na wyhamowanie tempa. Dosyć sprawnie pokonaliśmy największe pochylenie zbocza, prowadzące do przecięcia się z czerwoną percią, zmierzającą w tym samym kierunku, bardziej jednak dłuższą. Nie zmieniając koloru trasy, kontynuowaliśmy dalszy marsz. W międzyczasie doścignęła nas para młodych ludzi również schodzących ku Polanie Dębowiec. Wnet zdążyli nas wyprzedzić, ponieważ na chwilę się zatrzymaliśmy. Na Przełęczy Dylówki (720m n.p.m.) weszliśmy na bardziej dogodny i łatwiejszy do pokonania dystans, znakowany na czerwono. Pomimo ciemności otaczającego z lewej strony leśnego zbocza Cybernioka oraz Dębowca, mieliśmy teraz szeroką drogę dojazdową do schroniska na Szyndzielni. Po prawej stronie, w dolinie wiodła nitka kolejki gondolowej. Bez większych przeszkód mijaliśmy ostatnie metry, okropnie zmęczeni, ale uradowani z racji ciekawie spędzonego dnia. Sebastiana wzięliśmy do środka. Idąc tak razem motywowaliśmy go do finalnego wysiłku, bo cel był tuż tuż. Wraz z okalającym półmrokiem, najwyraźniej przeraził go końcowy etap, a nogi odmawiały posłuszeństwa. W jedności zawsze jest siła, jak mawiają mędracy tego świata. W końcu zobaczyliśmy światła Gospody Dębowiec. Dotarliśmy do niej na kilka minut przed godziną siedemnastą. Tutaj spotkało nas małe rozczarowanie, gdyż panie obsługujące stwierdziły, że zamykają lokal i nic nie mogą nam podać. Spóźniliśmy się trochę, więc nie było co biadolić. Chłopaki zdążyli tylko przybić pieczętki do książeczek GOT-u, a mój osobisty kontroler cukru, jak na złość odmówił posłuszeństwa. Po ostatnim badaniu włożyłem go do saszetki z medykamentami i schowałem do plecaka. W drodze powrotnej z Błatniej baterie z glukometru „przemarzły”, niczym za lekko ubrany na chłodniejszą porę człowiek. Nie schowałem go do ocieplonej kieszeni kurtki, w której nie straciłby zdolności pomiarowych. Popęłniłem błąd i aby go naprawić mogłem teraz wyjąć akumulatorki z urządzenia, oraz na krótko ogrzewając je w dłoniach, po chwili móc przeprowadzić test.



Janusz z Sebastianem na tarasie gospody Dębowiec (w dole wieczorowa panorama Bielska-Białej)



Szczęśliwie zakończyliśmy dzisiejszą eskapadę (wraz z wnukiem jestem na tarasie Dębowca)

Jednak panie najwyraźniej śpieszyły się z zamykaniem i zostaliśmy poproszeni o opuszczenie lokalu. Nie pozostało mi nic innego, jak schowanie aparatu do saszetki. Jednocześnie, na opuszcze ułutego do badania palca, zauważyłem jasną krew i od razu skonsumowałem kilka cukierków, popularnych „krówek”. Jasnoczerwona barwa maleńkiej kropli życiodajnego płynu świadczyła o bardzo niskim poziomie krążącej wraz z nią glukozy. Przedłużający się stan hipoglikemii, której po wielu latach trwania choroby już nie odczuwam, stwarza zagrożenie dla prawidłowej pracy mózgu, z utratą świadomości włącznie. Dlatego niezwłocznie sięgnąłem też po saszetkę z glukozą, celem natychmiastowego poprawienia cukrowego wskaźnika. Pozostałe w plecaku słodkie zapasy rozdałem pomiędzy nas i żegnając po raz drugi Gospodę pod Dębowcem, wolnym już krokiem udaliśmy się w kierunku parkingu. Trochę obawiałem się o wnuczka, że nieprzyzwyczajony do tak długich wycieczek, następnego dnia może odczuwać skutki zmęczenia. W drodze do auta uczułem go na zapas, by jutro starał się lekko masować bolące mięśnie. Dodawałem otuchy, że po kilku dniach dolegliwości miną, a obolałe kończyny wrócą do normy. Mówiłem też, że sam miewałem podobne stany, po bardzo wyczerpujących i kilkugodzinnych wędrówkach w Tatrach.

Wsiadliśmy do auta i obierając kierunek powrotny, poprzez rozświetlone świątecznymi barwami miasto stolicy Podbeskidzia, zmierzaliśmy ku naszym rezydencjom. Janusz zgodził się, że w pierwszym rzędzie odwieziemy „młodego”. Będzie miał co opowiadać rodzicom, jak i kolegom. Martwiłem się tylko o jego stan fizyczny, czy za bardzo nie będzie narzekał na dzisiejszą eskapadę. Moje obawy okazały się płonne, gdyż witając się z mamą, od razu zaczął zachwalać najpiękniejszą przygodę swojego życia, z rekordem przemierzonych kilometrów. Sprawdziłem na kalkulatorze szlaków i wyszło blisko 20 km pokonanej trasy. Tak rozradowanego i szczęśliwego jeszcze nie widziałem. Powróciłem do auta już uspokojony i od razu odjechaliliśmy w stronę Kęt.

Do domu dotarłem po godzinie 18-stej. Niezwłocznie uruchomiłem glukometr, a pomimo kilku cukierkach zjedzonych w tzw. „Schronisku Dębowiec”, wynik okazał się lekko zaniżony (80mg%). Należało zjeść kolację i mając w świadomości przebytą marszrutę, musiałem pamiętać o kolejnej redukcji insuliny posiłkowej, jak i bazowej. Tą ostatnią przyjmuję o 21⁰⁰. W odstępie następnych godzin wykonałem jeszcze dwa kontrolne pomiary (23²⁹ – 119mg%, 01⁰¹ – 175mg%). Po nim to spokojnie mogłem zasnąć, nie obawiając się już nocnych epizodów glukozowych.

Na drugi dzień, w południe zadzwoniłem do domu Sebastiana, by się spytać o jego zdrowie. Mama powiedziała, że jak nigdy dotąd, w ogóle nie narzeka na cokolwiek. Cały wczorajszy wieczór, jak i teraz w niedzielę opowiada na okrągło, co widział i czego doświadczył w górach. Nurtowało go tylko jedno pytanie, kiedy dziadek ponownie zabierze na kolejną, górską wyprawę?

Leszek Bartońd
l.bartold@wp.pl